Już nie napisze

Florian Śmieja



Stefaia Kossowska, fot. Archiwum Emigracji

W 2003 roku pod Londynem w wieku 94 lat zmarła Stefania Szurlej-Kossowska, wdowa po znanym malarzu Adamie (1905-1986). Wybitna dziennikarka i pisarka była ostatnią

redaktorką historycznego już tygodnika literackiego „Wiadomości”, który prowadziła po śmierci jego założyciela, Mieczysława Grydzewskiego i jego następcy, Michała Chmielowca, aż do zamknięcia pisma w 1981 roku.

Dzięki jej przezorności całe archiwum „Wiadomości” znalazło stałe schronienie na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie stanowi nie tylko dodatkową atrakcję biblioteki, ale przede wszystkim jest bogatym źródłem wiedzy dla studentów i pracowników naukowych.

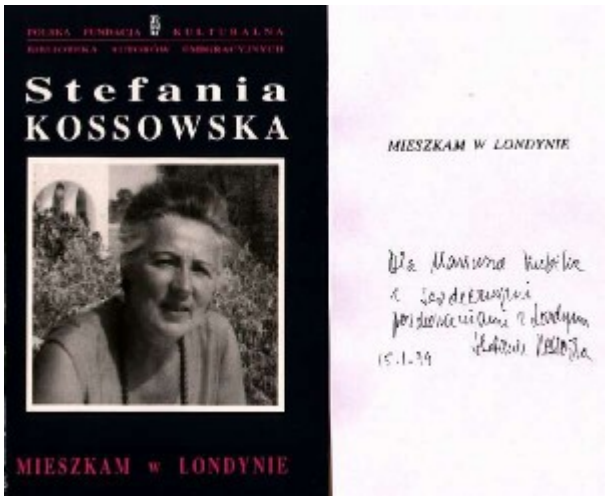


Stefania Kossowska na rysunku Feliksa Topolskiego, fot. Archiwum Emigracji

Współpracowałem z Kossowską dorywczo jeszcze w „Wiadomościach”, a później, częściej, w „Środzie Literackiej”, miesięcznym dodatku do londyńskiego „Dziennika Polskiego”. Była to współpraca przyjemna, dająca wielką satysfakcję, gdyż Kossowska potrafiła do końca pisać listy i notatki do swoich współpracowników i pięknie teksty dobierać, składać i przyozdabiać ilustracjami.

Kiedy skończyła 93 lata postanowiła zrezygnować z ulubionego zajęcia i przenieść się do polskiego ośrodka w Kent. Tam ją odwiedziłem w maju 2003 roku. Zawiozła mnie do niej Heide Bujnowska, która bardzo chciała poznać sędziwą redaktorkę.

Zastaliśmy ją w jej jasnym, dwupokojowym mieszkanku na pierwszym piętrze domu tonącego w kwiatach i angielskiej zieleni. Na stole leżały książki i czasopisma polskie, które regularnie czytała. Z dalekich krajów telefonowali przyjaciele.



Pani Stefania wyglądała uroczo. Pełna była życia i energii. Cieszyła się z wizyty i zasypywała pytaniami i informacjami. Kiedy wspomnieliśmy Herberta, nie omieszkała napomknąć, że książka Siedleckiej „Pan od polskiego”, jej zdaniem, nie była dobra, gdyż autorka nie

przeprowadziła koniecznej selekcji przytoczonych źródeł. Zapamiętałem, że bardzo chwaliła powieść „Pogranicze” Hanny Świderskiej. Podzieliła się anegdotą o Jerzym Pietrkiewiczu, którego poznała jeszcze przed wojną w redakcji „Prosto z mostu”.

Przy pożegnaniu wręczyłem jej moją książkę „Zbliżenia i kontakty”, traktującą głównie o pisarzach i redaktorach emigracji niepodległościowej. Uradowała się i obiecała o niej do mnie napisać.

Już nie napisze, niestety. Zmarła 15 września 2003 roku.



Stefania Kossowska wraz z Wacławem Iwaniukiem, fot. Archiwum Emigracji



Stefania Kossowska w redakcji „Wiadomości”, fot. Archiwum Emigracji.

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, 2003 r,

---

Irlandka B.G. MacCarthy

(1904-1993) – niezapomniany pedagog



B.G. McCarthy

Florian Śmieja

Małe instytucje nie radzą sobie z indywidualnościami, jeśli kapryśny los je nimi obdarzy. To, co mogło stać się wielką szansą i wybiciem na czoło, nieraz bywa zaprzepaszczane i niedostrzegane a często nawet pomniejszane i zwalczane. Taka była dola, moim zdaniem, Bridget G. MacCarthy, profesora irlandzkiego uniwersytetu w Cork, kobiety nieprzeciętnej. Napisała ona wybitną książkę, zanim feministki zorientowały się w nośności jej tematu. Była forpocztą, za którą długo nie było następców.

Jeden z dwu artykułów prasowych, jakie się ukazały w rodzinnym mieście autorki z okazji jej śmierci, pióra dziennikarki Mary Leland, zaczyna się mało życzliwie. "Przez lata pocieszałam się przeświadczeniem, że nie uczęszczając na Uniwersytet w Cork, aby studiować filologię angielską, nie miałam B.G.Mac Carthy za profesora." Przytoczyła następnie bezkrytyczne, negatywne opinie studentów dodając wprawdzie, że łagodniej o niej wyrażaliby się koledzy po fachu, lecz tym niemniej konkludowała, że "jej okres przeminął nieżałowany w przeszłość, nie wyróżniający się osiągnięciami".

Tak ją żegnała rodaczka, która jakby ze zdziwionym niedowierzaniem donosiła o wznowieniu zasadniczego dzieła B.G.MacCarthy "The Female Pen" przytaczając niezrozumiałe

pochwały edytorki. No, jeżeli B.G.MacCarthy nie miała osiągnięć, to co dopiero powiedzieć o innych wykładowcach jej uczelni?

Jak to się stało, że książka tak ambitna i na czasie nie została doceniona na świecie i pozostała nieznana w Corku? Tu, sądzę, mamy do czynienia z zazdrością zawodową środowiska nie nadążającego za horyzontami autorki, zemsta przeciętności nad talentem i obojętność wojujących feministek na jej osiągnięcia za odmowę zasilenia ich falangi hałaśliwych aktywistek, za to, że nie szukała sensacji, że była niewyrachowana.

Na jesieni 1947 roku zajechałem do irlandzkiego miasta Cork z gromadką polskich studentów, byłych żołnierzy i cywilów. Byli wśród nich m.in. Wojciech Gniatczyński, Janusz Leszczyński, Ewa Ponińska i Witold Szatkowski, syn Zofii Kossak-Szczuckiej. Zameldowałem się na uniwersytecie, który miał być moją *alma mater* przez trzy lata. Uderzyła mnie niezwykła sytuacja pedagogiczna na uczelni. Na humanistyce cztery katedry filologii łącznie z angielską zajmowały kobiety i to w kraju, który kojarzono z reżimem surowej katolickiej ortodoksji. Choć nie wszystko godne było pochwały, to tak widoczne docenianie intelektu kobiet w owym czasie świadczyło jak najlepiej.

Czterdziestotrzyletnia MacCarthy na katedrze filologii angielskiej znamionowała możliwości, które stały otworem przed młodymi uczonymi.

Urodzona w 1904 roku uzyskawszy licencjat i magisterium w rodzinnym mieście, wyruszyła po doktorat do Cambridge. Napisała rozprawę o Robercie Browningu drukowaną przez London University Press. Natomiast w Cork w 1944 roku wyszła jej książka “The Female Pen“ w dwu tomach, historia pisarek języka angielskiego. Młoda Irlandka stała się jedną z wczesnych obrończyń piszących kobiet, choć sprzeciwiała się, by ją zaliczano do feministek, która upomniała się o docenienie wkładu kobiet w ewolucję powieści angielskiej i domagała się ich równouprawnienia jako pisarek. Te okazałe tomy otrzymałem od niej w podarunku, ale wtedy nie potrafiłem ich docenić, a po latach sprezentowałem je z kolei bibliotece Uniwersytetu w Nottingham, gdzie byłem zatrudniony.

Objąwszy stanowisko profesora w Cork, zdobyła sobie sławę postrachu studentów, bo będąc wybitną uczoną wymagającą wiele od siebie, oczekiwała również sporo od innych, spodziewała się rzetelnego umysłowego wysiłku od swoich słuchaczy. Była znakomitą wykładowczynią, choć miała swoje preferencje. Nie znosiła poezji Byrona. Od niej nabrałem słusznego respektu dla wielkiego talentu narracyjnego Jane Austen.

Mieszkająca z swoją ciotką, ambitna, niezamężna kobieta robiła wrażenie osoby nieprzystępnej. Moim zdaniem, była raczej osamotniona, nie znajdowała w studentach partnerów

intelektualnej przygody, wrażliwych towarzyszy estetycznych przeżyć. Kiedy wykładała, tylko echo jej głosu rozlegało się w amfiteatrze wypełnionym onieśmielonymi studentami. Owszem, była wymagająca, ale czekała na respons, na znak rozumienia, nie lubiła niemoty. Przestraszeni słuchacze z kolei przyczyniali się do utrwalenia legendy o nieużytej wykładowczyni. Panująca cisza była dla obu stron przykra. Pamiętam, kiedy raz B.G. MacCarthy czytała czy raczej recytowała obszerny wczesny pomat angielskiego poety. Kiedy wreszcie skończyła znużona spytała o komentarz. Zapanowała cisza i wtedy odezwałem się przerywając złowieszcze milczenie "Poemat stanowczo za długi". Przelękłem się spontaniczności i apodyktyczności mojego odezwania się, ale pani profesor z łaskawym uśmiechem przytaknęła i ku zdumieniu słuchaczy zgodziła się ze mną "Niestety. Cierpi na dłużyzny".

Deklarując się być miłośniczką prozy angielskiej, sama władała znakomitym, klarownym stylem pełnym humoru i nie stroniącym od ciętych, dosadnych sformułowań. I tak, mówiąc o wykształceniu odebranym przez kobiety w czasach patriarchalnego traktowania ich przez mężczyzn, określiła je jako wykształcenie, które kwalifikowało je na żony i matki w tym świecie a na święte w tym lub przyszłym świecie. Widać, że imponowały jej odwaga i szacunek dla siebie bohaterek powieści Jane Austen, ale nie wahała się określić głupiej dziewczyny "malutkim bezmyślnym zwierzątkiem" i broniła lekkiego

potraktowania jej przez autorkę słowami “dlaczego używać dwuręcznego miecza, aby ściąć główkię motyla”? Na postawie podobnych ocen stał się jasny ideał B.G. MacCarthy – podziw dla nieokiełzanego ducha i odważnego serca.

Nieco później zaprosiła mnie do swojego domu, w którym mieszkała z ciotką. Zacząłem bywać częściej, gdyż zaproponowała mi dawanie jej lekcji języka polskiego, bo zapragnęła się go nauczyć.

Nauka wymagała dużego wysiłku obu stron. Obowiązki uczennicy pedagogiczne i administracyjne nie zostawiały wiele czasu, nauczyciel zaś nie miał kwalifikacji i praktyki, a do tego pomoce były skromne. Nie był dostępny nawet podręcznik Józefa Teslara ze słynnymi zdaniami takimi jak “Ordynans daje pić karemu koniowi pana pułkownika”. Ale lekcje się odbywały, a uczennica na improwizowanym materiale poznawała powoli zawiłości języka polskiego. Wdzięczna nie zapomniała potem o moim wysiłku, gdyż wielkodusznie w liście polecającym napisała: “Biorąc pod uwagę ograniczone zdolności jego studentów (oprócz niej lekcje brał również profesor filologii irlandzkiej), dobrze świadczy o Florianie Śmieji, że doprowadził nas do momentu pozwalającego nam z pewnym wysiłkiem czytać po polsku i że zaspakajał nasze zaciekawienie polską literaturą, tak że jesteśmy zainteresowani nauczyć się tego trudnego języka, by dotrzeć do estetycznych wartości, o których mówi tak

elokwentnie”.

Zagadnęła mnie kiedyś, czy domyślałem się powodu, dla którego postanowiła nauczyć się polskiego. Tłumaczyła, że to był jej gest przyjaźni i respektu wobec Polaków, którzy nagle po zakończeniu się drugiej wojny światowej pojawili się na irlandzkich uniwersytetach. Podjęła naukę tego trudnego języka i kultury polskiej, o które z takim uporem walczyli przez dwa wieki w imię braterstwa i ludzkiej solidarności. Doceniała naszą postawę i emigracyjną sytuację, a także wysiłki ducha jednego z narodów mniej szczęśliwych, upominających się o godne miejsce na świecie.

B.G. MacCarthy była gorącą patriotką. Za jej życia wybuchło krwawe powstanie w Dublinie, z pobudek patriotycznych, burmistrz Corku umarł śmiercią głodową, ale w końcu większa część wyspy uzyskała samorząd i ogłosiła niezależną republikę.

Jako pedagog nie miała złudzeń, co do zacofania intelektualnego swojego narodu na skutek długoletniej niewoli i wiekowej dominacji i dyskryminacji przez Anglosasów. Swojej ostrej krytyki nie kryła nawet kiedy w roli egzaminatora przyjechał z Oksfordu profesor J.R.R.Tolkien, późniejszy autor “Władcy pierścieni”. Gdy skarżył się na mizerny poziom studentów irlandzkich, bez wahania wskazała Anglików jako właściwych sprawców takiego stanu rzeczy.

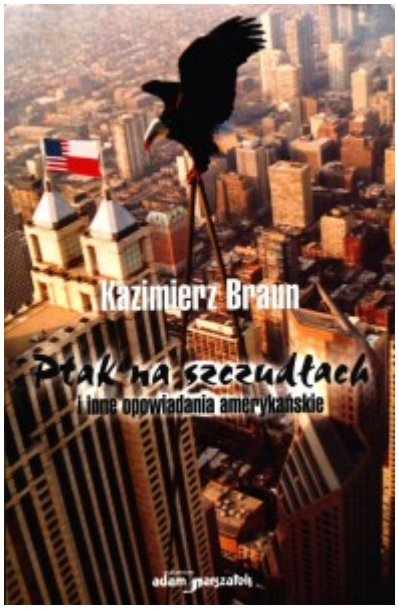
Kiedy wyjeżdżałem z Cork, bo zaofiarowano mi asystenturę na Uniwersytecie Londyńskim, na drogę wręczyła mi swoją pierwszą skórzaną teczkę, z którą zaczęła karierę nauczycielską. Długo mi służyła.

Rozeszły się nasze drogi, nim mogłem właściwie ocenić walory tej nieprzeciętnej osoby. Po nieudanym małżeństwie, które zaryzykowała będąc w średnim wieku, nagle enigmatycznie zrezygnowała z kariery akademickiej, której w prowincjonalnym uniwersytecie rodzinnego miasta była niewątpliwie wielką ozdobą. Zmarła w 1993 roku. Ponoć miała oświadczyć, że miała wszystkiego dość.

Myśl, że ja także w jakimś stopniu mogłem przyczynić się do jej niespodziewanej, dramatycznej decyzji, dziś napawa mnie smutkiem.

Zazna ochłody

Kazimierz Braun



Strzeliła furtka do sadu. Zadudniły kroki po śnieżce. Biegnący wołał, z trudem łapiąc oddech.

„Proszę księdza dobrodzieja, stary Zając spadł z rusztowania!”

Postać w słomianym kapeluszu, pochylona nad otwartym ulem wyprostowała się w chmurze kłębiących się wokół niej pszczół.

„Cicho mi w pasiece!” Powiedział niegłośno ksiądz do wyrostka, który zatrzymał się w bezpiecznej odległości. „Co się stało?”

„Stary Zając zleciał z rusztowania. Co go ruszą to wrzeszczy. A jak leży to ledwie dycha”.

„Zając, murarz?”

„Majster. On właśnie. Niech dobrodziej biegną”.

„Zaraz przyjdę. Po doktora posłali?”

„Poleciał Bolek od Wnuków, ale mówią, że Zającowi to księdza nie dochtora potrzeba”.

„Pomóż mi daszek założyć”, powiedział ksiądz.” Nie można tak ula zostawić”. Schylił się i postawił na ziemi trzymany dotąd w ręce garnek, z którego dobywał się dym.

„Kiedy mnie pszczoły pożrą…”

„Chodź mi tu zaraz, strachoput się znalazł. Jak cię która użądli to tylko na zdrowie. Zdjął obszerne pszczelarskie rękawice i rzucił chłopcu.

„Włóż rękawice. Mnie żadna nie użądli”.

Chłopak pospiesznie sięgnął w trawę po rękawice, włożył je i podsunął się niepewnie do ula. Razem z księdzem ujął drewniany daszek leżący na ziemi i przeniósł go nad kłębiący się od pszczół ciemny otwór.

„Użarła mnie!” Wrzasnął nagle, ale nie wypuścił daszka.

„Cicho” skarcił go ksiądz. „Powoli daszek osadzaj, żebyś której nie przyciął”.

Zakładali daszek ostrożnie. Ksiądz ruchem pewnym i dokładnym,

młody pomocnik dłońmi drżącymi od strachu, szyję wtulając w kark, potrząsając głową nerwowo i starając się chodź w ten sposób odpędzić świdrujące mu słuch pszczoły.

„Znowu!” Zapiszczał.

Gdy tylko daszek spoczął na ulu, chłopak runął w kierunku furtki, rozcierając kark i ucho. Ksiądz ogarnął uważnym spojrzeniem ul. Był dobrze zamknięty. Sutannę, którą miał zatknął za pasek, opuścił na białe portki. Zdjął słomiany kapelusz i otarł pot z czoła rękawem sutanny. Było bardzo gorąco, mimo popołudniowej pory. Słońce stało wysoko na czystym niebie lipcowego Teksasu. Wziął garnek z kurzem i poszedł szybkim krokiem ku plebani.

Był to dom duży, murowany, rozłożysty. Stał na pochyłości pagórka, nieco powyżej pasieki i sadu. Ponad plebanią, na łagodnym wzgórzu wyrastały wzniesione wysoko mury kościoła. Budowla była pokaźna, z szeroką nawą i potężną wieżą, jeszcze bez hełmu. Mury były obstawione gęsto rusztowaniami. Jasność drewna wysokich słupów rusztowań i przecinających je pomostów z desek tkała gęstą a lekką sieć, w którą całość konstrukcji była otulona, podobna raczej do ogromnego okrętu budowanego w stoczni albo do stosu drewna ułożonego na gigantyczne ognisko, przez który, jak już naniecony ogień, przeświytywała świeża cegła murów.

Większy będzie od aryjskiego, pomyślał ksiądz z dumą. Zobaczy ten biskup irlandzki, że Polacy nie gorsi niż jego Ajrysze. I szkoła przy kościele stanie. Też większa od aryjskiej. na chwałę Boga i ojczyzny imienia. Dzieci po polsku uczyć się będą, jak w kraju.

Kościół, wieńcząc wzgórze, stał ponad ogromnym polem dojrzałej, lekko falującej, złocistej pszenicy, za którym dopiero daleko widać było ciąg domków, dalej hale i kominy fabryki, a jeszcze dalej wieżę irlandzkiej bazyliki. Specjalnie wybrali to wzgórze po drugiej stronie miasteczka, aby się odróżnić, od Ajryszów odsunąć, wyżej od nich kościół postawić i ustanowić własny punkt środkowy, główny, zborny dla krainy, przyciągający oko i myśl, skupiający potrzeby: tu mieli przynosić swoje strachy, wypłakiwać upokorzenia, koić tęsknoty, chwalić Boga za łaski i prosić o opiekę. Tu przychodzić na msze i sumy, różańce i procesje, dzieci posyłać do szkoły, chrzcić się i żenić, bierzmować i grzebać. Ale pogrzebu, odkąd przyjechali całą wsią w te strony, jeszcze nie było.

Ksiądz wszedł szybkim krokiem na ganek plebani. Zaczerpnął parę razy ciepłej wody z cebrzyka stojącego pod rynną i zalał węgle w garnku z kurzem. Odstawił go na schodki, gdzie leżały porzucone przez chłopca rękawice. Wszedł do środka. Uderzył go stojący zaduch i upał. Musiał przyzwyczaić chwilę oczy do zmroku za zaciągniętymi grubymi zasłonami. Z pokoju, który służył za tymczasową zakrystię, wziął stułę z szuflady i – po

krótkim wahaniu – również skórzany sakwojaż, jakby lekarski, w którym miał przygotowane oleje święte, buteleczkę z wodą święconą i kropidło, świecę gromniczną i zapałki, a także komżę i „Sakramentarz”. Jeszcze się raz zastanowił, wziął czysty korporał z szafki i przeszedł do drugiej, większej izby, która była tymczasową kaplicą, przyklęknął przed małym ołtarzem, uchylił drzwiczki tabernaculum, ładnie odrobionego w lipowym drewnie, wyciągnął kielich z komunikantami, jeden z nich położył na korporale i zawinął. Schował kielich, przyklęknął, wrócił do zakrystii. Włożył korporał z wiatykiem do walizeczki. Wyszedł na ganek. Uderzyło go słońce. Zmrużył oczy i kłusem skierował się w stronę murów kościoła.

Gromada starszych i młodszych mężczyzn w koszulach z zakasanymi rękawami tworzyła nieregularny krąg. Słysząc kroki księdza, rozstąpili się bez słowa. Na spalonej ziemi, w drobnym pyle szarego piasku i odłamkach cegły leżał na plecach człowiek. Jego piersi unosiły się spazmatycznym, nieregularnym oddechem, bose stopy leżały nieruchomo na piasku, a palce dłoni drapały kurczowo ziemię. Głowę trzymał sztywno, na wyciągniętej szyi. Oczy miał zamknięte, a zęby zaciśnięte. Jego wargi, na których były ziarenka piasku, poruszały się rytmicznie i dochodził z nich niezrozumiały szept. W jego rzadkich, siwych włosach również był piasek, na policzkach i czole, białe plamy murarskiej zaprawy.

„Bardzo jest kiepski, proszę jegomości”, powiedział najbliżej stojący mężczyzna. „Chyba się przetrącił. Jak spadł, tośmy go chcieli pozbierać, ale nie dał się ruszać. Tylkośmy go na plecy przekręcili, żeby się nie zadławił”.

„Jak to się stało?” Zapytał półgłosem ksiądz.

„Poślizgnął się na rozlanej zaprawie. Sam musiał kielnią nachlapać. Stary jest, niedowidzi, a rwie się do roboty, w domu by siedział. Zleciał z rusztowania jak worek, sześć pięter”. Powiedział ten sam mężczyzna.

Ksiądz dał mu sakwojaż do potrzymania i przyklęknął przy rannym. Ostrożnie dotknął jego czoła. Było spocone, ale chłodne. Pod wpływem dotknięcia leżący otworzył oczy.

„Ksiądz proboszcz…” Powiedział z trudem. „Chcieliśmy dziś pod dach podciągnąć. A tylko przerwa w robocie przeze mnie…”

„Gdzie was boli, Łukaszu?” Zapytał ksiądz.

„W środku”. wymamrotał leżący wydymając wargi i kłapiąc zębami, które zaraz zacisnął z powrotem. „A najwięcej w krzyżu”. Dodał. „Ale jak tak leżę na plecach i się nie ruszam, to idzie znieść”.

Widać było, że stara się utrzymać swoje ciało jakby na ostrej kalenicy, z obu stron której czyhał na niego ból. Raz po raz obsuwał się to na jedną, to na drugą stronę tej krawędzi i wtedy wstrząsał nim dreszcz, mięśnie napinały się, zaciskały się zęby, policzki zaczynały drgać i oddech dobywający się przez nos stawał się pospieszny. Ksiądz ostrożnie ujął jedną z jego nóg obiema rękami za kostkę i uniósł ją nieco.

„To was boli?”

„Nie”, powiedział zduszonym głosem ranny.

Ksiądz ponowił badanie, unosząc drugą nogę: „A to?”

„Nie…”

„Dźwignąć się możecie? Spróbujcie”. Ksiądz podetknął leżącemu rękę pod kark. Tamten zebrał się w sobie, napiął, uniósł głowę i nagle jak ugodzony padł znów na wznak, uderzając głową w piasek, aż pył się podniósł.

„Leżcie, leżcie sobie…” Powiedział ksiądz.

Zrozumiał, że stary murarz jest sparaliżowany od pasa w dół i musi mieć złamany kręgosłup. Znów dotknął jego czoła. Było zimne. Rozpiął leżącemu koszulę i dotknął piersi. Była mokra od

potu, ale też zimna. Ksiądz pomyślał, że to zimno ciała może zwiastować rychły koniec.

„Posłaliście po doktora? Tak?” Zapytał stojących.

„Poleciał Bolek”.

„A po synów do fabryki?”

„Właśnie bieżą przez pole”, powiedział ktoś inny. Ksiądz spojrzał w stronę osiedla i zobaczył daleko na miedzy dwie głowy biegnących, ledwo wynurzające się z wysokiej pszenicy. W pewnej odległości za nimi, nieco wolniej, poruszały się inne głowy, zapewne kobiet, które musiały zostać również zaalarmowane. Spojrzał znów na leżącego na ziemi człowieka.

Chcieli go zostawić w kraju i starą też, a wziąć tylko synów. Ale się uparł, że pojedzie, jak cała wieś, to cała, wszyscy, co do jednego, nie biorąc tylko niedołęgów, kalek, przygłupów i starców nad grobem, a on był krzepki jeszcze, umiejętny i bardzo robotny, choć trochę niedowidział. Ksiądz się wreszcie zgodził, bo Łukasz Zając był murarzem sławnym na całą okolicę i można było liczyć, że się bardzo przyda za morzem. Przy budowie kościoła, mimo kłopotów z oczami, nie folgował i pierwszy rwał z rusztowania na rusztowanie, coraz wyżej. Zawsze na procesjach w rodzinnej wsi kroczył na przedzie niosąc krzyż, to i w Corpus

Christi, gdzie schodzili ze statku na ląd też poszedł pierwszy i niósł na przedzie całej struchlałej gromady wielki krzyż parafialny. Śpiewał najgłośniej ze wszystkich, głośniej nawet od organisty, na całe gardło wydzierał „Serdeczna matko", aż niosło po porcie, tym śpiewem zagłuszając okropny strach, gdy po raz pierwszy stopy stawiali na tej ziemi obcej.

Ksiądz pojechał do Ameryki wcześniej, żeby wybrać miejsce osiedlenia, przygotować nadania ziemi, wybrać drogę ku niej, zgromadzić żywność na pierwsze tygodnie. Witał ich w porcie konno, z krucyfiksem w uniesionej wysoko dłoni, a oni szli ku niemu ze statku, po trapie, śpiewając, niosąc pługi, cepy, kosy, piły, kielnie i inny dostatek, wszystko, jak im wziąć do nowej ziemi nakazał. Pierwszy kroczył Zając, tak go zapamiętał: mimo gorąca, w białym, ogromnym, odświętnym kożuchu, z otwartą w śpiewie gębą, z wielkim parafialnym krzyżem, wyciągniętym przed siebie, jak tarcza. I zbliżały się ku sobie te dwa krzyże, jeden niesiony przez Zająca, drugi w dłoni księdza na koniu.

Ksiądz pomyślał wtedy, że oto krzyż w kraju idzie naprzeciw krzyża emigracji. Który cięższy?

A gromada doszła do niego, patrzył na nich z wysoka, ich twarze były wzniesione w górę, oczy pałające, wciąż śpiewali potężnie, pierwszy Zając klęknął i cała parafia za nim, kilkaset luda, gruchnęli na kolana. Skończyli śpiew i zamilkli. Nastała wielka

cisza. A on wzniósł krucyfiks jeszcze wyżej i pobłogosławił ich w tej ciszy szeroko, zamaszyście.

„W imię Jezusa Chrystusa i Panny Maryi, Najświętszej Matki Jego, witajcie!” Zakrzyknął.

W gromadzie nagle powstał gwar, odezwały się płacze, ludzie podrywali się z klęczek, garnąc się do niego i tłocząc, aż koń zaczął parskać i stawać dęba pod natłokiem, musiał go mocno cuglami poskramiać. Zatknął krucyfiks za pas i ręce do nich wyciągał, które całowali, i buty jego i sutannę. Był dla nich jedynym swojakiem na obczyźnie.

„Odstąpcie”, powiedział ksiądz do gromady stojącej nad rannym. „Muszę go wyspowiadać”.

Zdjął słomiany kapelusz i odłożył go na ziemię. Narzucił stułę na szyję. Schylił się niżej ku twarzy rannego. Ludzie bez słowa poszerzyli nieco krąg, ale nadal stali nieopodal wpatrzeni ponuro w leżącego i w księdza, który klęknął teraz na oba kolana, pochylił się ku głowie starego Łukasza i coś mu szeptał do ucha. Dwaj młodzieńcy, synowie, zdyszani dobiegli do kręgu, chcieli się przedrzeć do leżącego, ale inni ich powstrzymali. zaczęły nadchodzić kobiety. Rozległy się ich płacze i głośne uwagi – „Stary mógł się nie pchać na rusztowanie tak wysoko” – „Nie poradzisz, ale on musiał pokazać jak się muruje” – „Murarz to był

dobry, nie odmówić” – „Znał się na rzemiośle” – „Spadł, mówię wam, jak ten worek z wysokości” – „Na chwałę Bożą chciał się przyczynić” – „Nie stanęłaby ta budowla bez niego” – „Ma za swoje wynoszenie się” – „Jakie tam wynoszenie, majster był zawołany” – „I na co mu to teraz, w prochu se leży” – „Nawet w ziemi swojej rodzonej świętej nie spocznie”.

Stopniowo krąg się pogrubiał, pojawiały się dzieci, przybywało kobiet, które dowiadując się o wypadku, biegły pod kościół. Znali się przecież wszyscy w tej wsi, a teraz robotniczej osadzie, ale dla nich to była wciąż polska wieś. Budowali kościół pospólnie, młodzi i starzy, mężczyźni i wyrostki, w ciągu długich letnich miesięcy pracując cały dzień bez ustanku, bo fabryka miała dwie zmiany i kiedy pierwsza zmiana szła do hal, to druga do kościoła, kończyła tylko trochę wcześniej, żeby coś zjeść i pójść do fabryki na drugą zmianę, a już pierwsza zmiana przychodziła prosto z bramy fabryki na budowę kościoła, kobiety i dziewczyny donosiły jedzenie w dwojakach, w koszykach, picie w butelkach. I tak szło od szóstej rano do dziesiątej wieczorem, na dwie zmiany. Kościół rósł jak na drożdżach, strzelał w górę każdego dnia. Teraz najwięcej ludzi pracowało przy murarce i kamieniarce, ale równocześnie już stolarze robili drzwi i futryny, okna i ramy okienne, ławki i ołtarze. Kowale kuli świeczniki, zamki i skoble. Dekarze szykowali krokwie dachowe i gonty. Kobiety szyły obrusy na ołtarze i chorągwie; tylko trzy przywieźli ze sobą przez morze. Matki Boskiej Częstochowskiej, te poświęconą świętemu

Florianowi, patronowi od ognia, bo na nowej ziemi, gdzie miały stanąć ich nowe domy, tego się najbardziej chcieli ustrzec, a trzecia ze świętym Krzysztofem, którego wcześniej nie znali, ale tak im ksiądz nakazał, aby ich święty Krzysztof bezpiecznie przez wodę przeprawił, co się też stało. A tu miały stanąć w kościele chorągwie każdego cechu, każdego bractwa, w każdej ławce zatknięte i na procesje, to miał ich cały las iść i skrzydłami ich osłonić jak proporce wojska niebieskiego albo jak polska starodawna husaria, w tym kraju obcym, tak ich pouczał proboszcz. Feretrony też od razu były w robocie, obrazy do nich już zamówione u słynnego artysty rodaka, w samy, Pittsburgu, a figury u innego w Filadelfii. Obraz Panny Maryi Pocieszenia, patronki parafii, przywieźli z kraju. Trochę mały będzie jak na wymiar wielkiego ołtarza, ale swój za to. Ogromną, gruba ramę już mu rzeźbią, a nie pożałują na jej pozłotę. Płacą na ten kościół, dom w dom, po piątej części tygodniówki każdego robotnika, dużo, to są straszne pieniądze, ale sama tygodniówka jest tak ogromnym bogactwem, jakiego nikt z nich wcześniej nigdy na oczy nie widział, a nawet nie słyszał, żeby kto tyle zarabiał za pracę rąk swoich, więc na chwałę Bożą niech to idzie w dziękczynieniu za to wielkie szczęście, które ich tu spotkało, choć pracują w fabryce bardzo ciężko i mężczyźni i niedorostki, ale wszyscy, najbiedniejsi nawet, już w swoich domkach mieszkają, gdzieżby tam mieli skąpić na dom Boży.

„Żałujesz?” Zapytał ksiądz Zająca. Żałujesz za wszystko?”

„Zimno mi” Wymamrotał stary.

„Najpierw powiedz, że żałujesz”, zgromił go ksiądz głośno.

„Zimno bardzo”.

„Żałuj za grzechy choć po cichu, a ja ci udzielę rozgrzeszenia”, zrezygnował kapłan.

„Ego te absolvo…” zaczął mówić prędko, widząc jak twarz leżącego w prochu człowieka szarzeje.

„Proszę dobrodzieja! Dochtor pojechał do porodu na wieście! Nie wróci aż na iwning!” Usłyszał drącego się już z daleka Bolka.

„Cicho dźboki, spowiada się teraz”, zgromił go któryś z gospodarzy i chłopak stanął nagle bezradnie z tyłu kręgu, a potem zaczął się powoli przeciskać do pierwszego rzędu, dysząc głośno.

Ksiądz wstał. „Niech podejdą synowie się pożegnać”, nakazał. „A wszyscy na kolana”. Tłum gruchnął na kolana, a jednocześnie wydobyli się zeń dwaj młodzi robotnicy w poplamionych smarem kombinezonach, ociekający potem. Jasne czupryny spadały im na oczy. Podchodząc wycierali ręce o spodnie. Przyklękli.

„Ojciec”, powiedział starszy, „ojciec pobłogosławcie”. Umierający nie zareagował. Grzebał zakrzywionymi palcami ziemię. W tłumie rozległ się szloch. Obaj młodzi ludzie schylili się do samej ziemi i jeden po drugim ucałowali prawą dłoń ruchliwą, obsypana piaskiem. Pozostali na klęczkach. Ksiądz położył obu dłonie na głowach. „Ja was błogosławię”, powiedział łagodnie. „A matka tam z nieba na was spogląda”. Znów rozległ się płacz z kręgu ludzi.

„Sakwojaż” Zawołał głośno ksiądz. Mężczyzna trzymający do tej pory walizeczkę podbiegł skwapliwie. Ksiądz otworzył ją i wyjął korporał. Wydobył z niego wiatyk. „Ecce Agnus Dei, ecce qui tollit pecceta mundi…” Przeżegnał komunikantem leżącego i zbliżył go do jego ust. Ale ranny miał zaciśnięte zęby. „Otwórzcie gębę, stary”, powiedział ksiądz głośno, ale to nie poskutkowało. „Corpus Domini nostri Jesu Christi custodiat animam tuam in vitam aetemam”. Kontynuował ksiądz, ale ranny nie zareagował. „Nie ma kto noża?” Zapytał ksiądz.

Obaj synowie wyciągnęli natychmiast z kieszeni portek koziki. Ksiądz położył korporał na piersiach leżącego, a na nim opłatek. Wziął nóż od jednego z chłopców, otworzył ostrze, ostrożnie wsunął je pomiędzy zęby starego i przez utworzoną szczelinę wsunął opłatek. Wycofał ostrze. Zęby szczęknęły. Oddał nóż. Złożył korporał do sekwojaża i sięgnął po oleje święte. Mrucząc modlitwy, pośpiesznie namaszczał oczy, uszy, nozdrza, ręce, nogi

i czoło leżącego, który nagle zakrztusił się, wzdrygnął i zaczął rzucać głową w obie strony, więc ksiądz przytrzymał go za brodę, aby opłatek broń Boże, nie wyleciał mu z ust. Ranny chwilę szamotał się, a potem ruchy jego spowolniały i ciało jakby zelżało, a rysy się z wolna wygładziły. „Mówcie: Ojcze nasz", nakazał ksiądz gromadzie i sam zaczął głośno, a ludzie dołączyli chórem. Rozległy się znów kroki kogoś biegnącego. Gdy „Ojcze nasz" miało się ku końcowi, odezwał się głos:

„Urwałem się z plantu, proszę dobrodzieja, może coś pomóc?" Ksiądz rozpoznał głos organisty. Nie odpowiedział, tylko od razu zaśpiewał: „ Salvum fac servum tuum".

„Deus meus, speratem in te", odpowiedział śpiewem organista.

„Mitte ei, Domine, auxilium de sancto".

„Et de Sion tuere eum".

„Esto ei, Domine, turris fortitudinis", śpiewał ksiądz.

„A facie inimici", dialogował organista.

Tak doszli do końcowego „Dominus vobiscum" i cała gromada odpowiedziała chórem „Et cum spiritu tuo".

Ksiądz wrócił do cichej modlitwy. Synowie Zająca klęczeli.

„Śpiewajcie: Serdeczna Matko”, nakazał ksiądz po chwili.

Organista zaintonował. zabrzmiała pieśń potężnie.

Ksiądz już się nie spieszył. Powoli robił znaki i półgłosem mówił modlitwy. Wyciągnął z torby gromnicę. Podał ją jednemu z synów. Drugiemu dał zapałkę, ten zaś potarł ja o podeszwę, zaniecił i osłaniając dłonią płomień zapalił świecę. Nie było wiatru. Knot palił się równo, prawie zresztą niewidoczny w ostrym słońcu. teraz ksiądz wyjął z sakwojaża butelkę z wodą święconą i kropidło. Odkorkował uważnie i polał lekko kropidło wodą. Odłożył butelkę i pokropił umierającego, a potem zamachnął się znacząc znaki krzyża nad tłumem, kropiąc na wszystkie cztery strony świata.

Nie doczekał stary poświęcenia kościoła, myśli ksiądz. Stara zmarła na statku i musieli ja do wody rzucić, a on pierwszy tu umiera ze wszystkich. Dwóch synów zostaje sierotami. Robotnicy, dadzą sobie radę. Trzeba będzie cmentarz wytyczyć. Kto z nich następny? Pomrą na obcej ziemi jedno po drugim. Wszyscy. Panie Boże, wszyscy, jak tutaj stoją. Mężczyźni i kobiety. Dzieci i niemowlęta. Tu ich przywiodłem – grzebać? Ja sam też już nigdy nie wrócę. Wola boska. Gruntu wokół kościoła nie brakuje, tylko z której strony cmentarz ma być? Od północy

oczywiście. Choć i tak nigdzie cienia za grosz i wszędzie słońce jakby w zenicie przez cały dzień. No, to tylko w lecie. Ale długie to lato. Gorące. jakie tam gorące? Upalne. Chryste Panie, upalne? Nie upał to, ale spiekota, od świtu do zachodu słońca. Od marca do listopada. A jak deszcz lać zacznie, to potop od razu. Śniegu nie ma na lekarstwo. Huragany straszliwe uderzają i domy nawet w powietrze porywają i ludzi zabijają. Matko Boża, gdzie ja tych ludzi wywiodłem? Z domu niewoli, odpowiedział sam sobie. Z domu nędzy, dodał. I to nie jak Mojżesz, który ich wywiódł z Egiptu, gdzie mieli pełno mięsiwa w garnkach i jarzyn w bród i owoców, na pustynię, bez wody i jadła, ale ja wywiodłem ich właśnie od garnków pustych i głodu, i dzieci z głodu na przednówku umierających, z ugorów, zagonków, nędzy, walących się chałup i rozpadających się czworaków, do tego kraju mlekiem i miodem płynącego, gdzie ziarna pszeniczne jak wiśnie, a wiśnie jak śliwy, pomidory jak pieści, a jeszcze do tego brzoskwinie, dynie, melony, kawony, winogrona; i mięsiwo, mięso nawet i co tydzień. Pszczoły dobrze tu idą. Wywiodłem ich od pracy za prawie darmo i od daremnego szukania pracy, a przywiodłem ich do roboty w tej fabryce, gdzie porządek i pieniądz grają w parze i co tydzień wypłatę każdy dostaje, jak bogacz jaki. No, jeśli praca jest. Bo gdy zwalniają na lejof, to bieda natychmiast zagląda w oczy i strach wkrada się w serca. Raz, gdy przyszło straszne tornado i zniosło dachy z połowy domów, a fabryka akurat zaczęła zwalniać, to ludzie gniew swój zwrócili przeciw księdzu i pokarać go za te nieszczęścia chcieli,

bo przecież on ich przywabił. Musiał w góry uciekać i kryć się po jarach. Ale gniew przeszedł, fabryka znów robotników przyjęła, domy odbudowano, pokój wrócił do serc. To i kościół prawie pod dach śmiga z tych dolarów, a plebania pół roku już stoi i ksiądz się tez pożywi, na co zasługuje. Żeby tak tylko trochę cienia. Upał aż zatyka. Rozejrzał się. Dookoła murów kościoła widoczne były na pagórku sadzonki małych lipek. Wyciągną się, pomyślał. Pszczoły będą miały pożytek.

Brzmiała pieśń. Ksiądz dołączył się grzmiącym głosem: „Wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy…..” Gdy skończyli powiedział:

„Niech go położą na tych drzwiach do kościoła, co to już gotowe do osadzenia, w nawie pod ścianą stoją i niech go do domu zaniosą. Tam go obmyjecie i ubierzecie. A stolarze niech zaraz do zrobienia katafalku ręce przyłożą. Bo go jeszcze nie mamy. Solidny ma być, aby nie na ten raz jeden posłużył. Zaraz się brać do roboty. I pomalować. Czarna farba i srebrna musi się znaleźć u Ajrysza w mieście, niech który skoczy, na kreskę wziąć, a ja zapłacę. I krzyż nagrobny wystrugać. Tabliczkę wypisać równo, żył lat tyle a tyle, synowie wiedzą, zmarł Roku Pańskiego 1855. Katafalk przed wejściem do kościoła ustawić. To pierwszy pogrzeb w naszej parafii na nowej ziemi i uroczysty będzie. Jak tylko druga zmiana wyjdzie z fabryki, to go przynieść z powrotem. W nocy go pochowamy o chłodzie. Przez jutro by nie przetrzymał. Gromnice wszyscy przynieść. Grób wykopać pod

tamta lipką małą, od północy. Kiedyś go ocieni. Zazna ochłody”.

„Jakże to ta? W obcej ziemi grzebać?” Odezwał się jakiś kobiecy głos z gromady.

Ksiądz spojrzał surowo i już chciał zgromić kobietę, którą wypatrzył w tłumie. Ale przeniósł wzrok dalej na wielki łan pszenicy, na linie domów i kominy fabryki poza nią, powiódł wzrokiem po wysokich murach kościoła i po strzelistych rusztowaniach, popatrzył na niebo ogromne, wciąż bezchmurne, na daleki, otwarty horyzont, a potem znowu bliżej na wydeptany i wyjeżdżony pył wokół budowy. Wzrok mu złagodniał.

„Teraz to już nasza ziemia”, powiedział spokojnie, po gospodarsku. „Nasza. Tu leżeć będzie wśród swoich”.

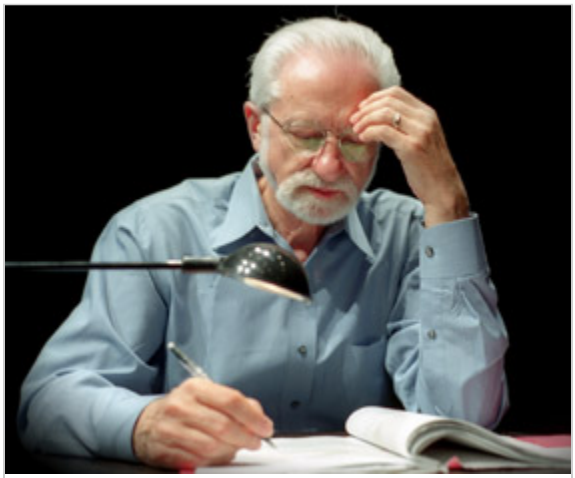
Kazimierz Braun: Ptak na szczudłach i inne opowiadania amerykańskie, wyd. Adam Marszałek, Toruń 2003.



Jan Stanisławski, Wieś- Dziewanna, olej na desce 31,5 x 41 cm, własność prywatna.

Opowiadanie ukazało się w „Liscie oceanicznym”, dodatku kulturalnym do „Gazety” z Torotno w 2003 r.

Dogmat wierności



Kazimierz Braun

Kilka myśli o prozie Kazimierza Brauna

Emil Biela

Można pobożnie żartować, że Mojżesz, odbierając od Boga dekalog na górze Synaj, nie dopilnował, aby umieszczone tam było również przykazanie wierności. Gdyby ludzie w swoim życiu byli mu podporządkowani i przestrzegali go, byłoby na tym ułomnym świecie nieco inaczej. Mniej byłoby tragedii, fałszu, wypierania się przekonań, pogoni za złudną karierą. Być wiernym sobie. Jakież to trudne. Najwyższą pochwałą jest

stwierdzenie: „on jest zawsze ten sam – mimo upływu czasu!” To chyba wartościowy, niewidzialny order, który może zdobyć człowiek przez lata swojego życia.

Być wiernym…- to omal bohaterstwo. Niekiedy wymaga to osamotnionej odwagi, czasem nawet wyjazdu z ojczystego kraju. Cyprian Kamil Norwid w „Epimemdesie” z gorzką, filozoficzną ironią pisze:

Syn wierny niewierny historii zamętu,

Syn wierny społeczeństwa, co nie było warte

Wierności! – ta już bowiem stawała się zdradą…

Ileż bolesnej prawdy jest w tej charakterystyce człowieka, który chciał być wiernym synem Ojczyzny. Polacy, jak nikt inny na świecie, potrafią być wierni niepisanemu przykazaniu wierności. Stefan Żeromski w „Dumie o hetmanie” podnosi tę zaletę, pisząc: „Bywa tu w Polsce, zamurowana dozgonna wierność dla przegranej sprawy, nieznana nigdzie na świata obszarze, uniesienie prawego serca, które jedynie w wielkim czynie widać…” Wierność tworzona jest każdego dnia. Niewielu jest pisarzy, którzy przez całe swe życie artystyczne byli pod tym względem nieskazitelni. Nawet naszym noblistom wytyka się – i słusznie – pogwałcenie kiedyś przykazania wierności, kiedy

wypowiadali z przekonaniem to, o czym dzisiaj by milczeli lub twierdzili coś wręcz odwrotnego. Z trudem – nawet miłosierni – usprawiedliwiają takie postępowanie.

A można być wiernym nieskazitelnie. Do grona takich ludzi należy bez wątpienia Kazimierz Braun, którego bogata twórczość teatralna, prozatorska i dramaturgiczna znana jest zarówno w Polsce, jak i w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszka on i pracuje od prawie dwudziestu lat. W swoich powieściach i tomach opowiadań Kazimierz Braun tworzy niejako dogmat wierności, udowadniając, na przykładzie skomplikowanych losów swych bohaterów, tezę, że kto przeciwstawia się temu dogmatowi, łamie go, nie uznaje zasady wierności – ma zafałszowane i w finale tragiczne życie.

Najdobitniej jest to udokumentowane w powieści dokumentalnej pt. „Pomnik", wydanej w roku 1989 przez paryski Instytut Literacki w Bibliotece „Kultury". W książce tej Kazimierz Braun udowodnił, że jest odważnym pisarzem politycznym. Na kartach „Pomnika" ukazał anatomię polskiego komunizmu z czasów panowania Edwarda Gierka. Braunowska sekcja zwłok ukazuje wnętrzności totalitaryzmu nad Wisłą. Zenon Bugdał, doradca Gierka, wiceprezes telekomitetu, partyjny rzeźbiarz, tworzący swą karierę na pomyśle budowy pomnika Powstania Warszawskiego, który miał stanąć na środku Placu Defilad i wysokością przewyższyć Pałac Kultury, ponosi totalną klęskę.

Opierając się na kłamstwach prosi o azyl polityczny w Ameryce i … otrzymuje go. Na ruinach egoizmu, mogła stanąć tylko ruina człowieka, który nie znał zasady wierności. W odautorskich zdaniach „Pomnika" czytamy, że Zenon Bugdał nie rozumiał swego własnego życia. Nie umiał dokonać wyboru, a miał do tego wielokrotnie okazję. Jest w „Pomniku" symboliczna scena, przypominająca w pewnym stopniu „Wesele" Wyspiańskiego. Na wystawie w Moskwie miała znaleźć się jego rzeźba, lecz w ostatniej chwili ją usunięto. Pobity przez strażników wystawy, strącony w niełaskę, Zenon Bugdał wrócił do Warszawy i teraz, już jako outsider, patrzy na tłum rządców PRL-u na noworocznym balu w Komitecie Centralnym KPZR: „Ogłuszająco grała orkiestra na podwyższeniu w rogu sali. Patrzył szeroko otwartymi oczami na wirujący tłum. Rozwiane długie suknie. Połyskiwanie klap smokingów. Uśmiechnięte i pijane twarze. Pulsowanie kolorowych świateł. Falowanie serpentyn i bibułkowych dekoracji. Uderzyło go, że wiele par było w maskach. Małych i czarnych – balowych, albo karnawałowych – zwierzęcych, z ogromnymi ryjami, rogami, czy uszami, które kłapały w tańcu; były też maski potworów – ogromne nosy, zęby wampirów, przyprawione do okularów nastroszone brwi. Słychać było tupot i szuranie po podłodze. Pary szamotały się i kolebały w pijanym bezładzie, inne wirowały płynnie i gładko. To tańczył jego poprzedni świat. Jego poprzednie życie". Zenon Bugdał był przykładem „antywierności" – a raczej partyjnego karierowicza. Miał tak skażoną osobowość, że „brnąc coraz dalej i głębiej w

świństwo, równocześnie oczyszczał się w swojej własnej świadomości i uszlachetniał. Robić partyjną karierę na antypartyjnych nastrojach społecznych, była to doprawdy gra arcymistrza. Jakby jednym ruchem szachował zarazem króla i królową".

Na rozstajach historii musimy być wierni – ojcu, matce, dziadom, tradycji. Ten dogmat gwarantuje godność osobistą, honor, realizację uczciwego człowieczeństwa. Zasada wierności to wewnętrzne światło. Kto go nie posiada jest po prostu ubogi, z czasem staje się tragicznym nędzarzem. Kazimierz Braun we wszystkich swoich książkach, a w „Pomniku" w szczególności, z całą pisarską mocą lansuje przykazanie wierności, sam osobiście będąc przykładem realizacji tej zasady. Sprzeniewiercy wierności to ludzie, przed którymi pisarz ostrzega. Ma do tego prawo, bo jego właśnie, z powodu wierności, boleśnie i bezboleśnie dotknęła historia. Zmusiła do emigracji. Podzielił los twórców z panteonu kultury narodowej. Ale tak jak kiedyś wielcy romantycy, nie wywiesił białej flagi, nie poddał się – nadal publikował, reżyserował, wykładał. Dzisiaj z zadumą może przeglądać swoje „teczki", które otrzymał z Instytutu Pamięci Narodowej. Został bowiem oficjalnie uznany za „pokrzywdzonego". Z teczek tych wynika m.in. jak bardzo był dla swoich nadzorców „obcy ideologicznie". Braun nigdy nie był członkiem partii, nie musiał „bohatersko" oddawać partyjnej legitymacji. Stróżów porządku komunistycznego kłuł w oczy jego

katolicyzm. Wielokrotnie donosiciele piszą o nim, że „demonstracyjnie chodzi do kościoła”, że ma koneksje z Episkopatem, znajomości na KUL-u. Cały czas był śledzony, w domu miał podsłuch itd. Gdy dzisiaj retrospektywnie pochylamy się nad dorobkiem pisarskim autora „Pomnika”, to widzimy z całą dokładnością, że zawsze był on wierny sobie i Polsce, swoim artystycznym ideałom służenia ze wszystkich sił kulturze narodowej.

Przed kilkoma laty, recenzując książkę Kazimierza Brauna „Pożegnanie z Alaską” (Instytut Wydawniczy PACX, 1996) opatrzyłem ją tytułem „Gdzież ta Polska?” i pisałem, że prawidłowością polskiej literatury jest to, że wybitne jej dzieła powstawały często na emigracji. Twórca „Pożegnania z Alaską” zdaje sobie sprawę ze swojej „dogodnej” pozycji. Wykorzystuje ją świadomie, tworząc mozaikową opowieść, sagę o emigracji polskiej w Ameryce, a zarazem solidny reportaż, potwierdzony autentycznymi wydarzeniami i nazwiskami. Czytelnik ma satysfakcję, że zwraca się do niego ktoś kompetentny i dobrze zorientowany. Z tej książki Brauna można się wiele nauczyć. sporo przeżyć, studiować współczesność, łapać czas na gorącym uczynku. To są wszystko ogromne walory tej polskiej prozy, pisanej w Polsce. Będąc znakomitym stylistą, operującym sprawnym i posłusznym piórem, Braun kreśli losy Polaków dzielących swój los między krajem nad Wisłą, a Ameryką. Bo to najdziwniejsza z Polskich prawd, że Ameryka jest po prostu w

nas, a i my jesteśmy w niej. Ponoć w rzeczywistości połowa Polaków mieszka poza nadwiślańskimi polami, nad rzekami amerykańskimi i kanadyjskimi. Braun, znawca Polski i USA, tych nietypowych „bliźniaków", w swoich książkach mówi o tym, że jest to trudne pobratymstwo, do końca nigdy nie spełnione. Odpowiedzialnie burzy mit o polsko-amerykańskiej miłości. Nie chce by Polacy nieustannie adorowali ołtarz Ameryki. A zarazem kocha Amerykę. Szuka więc prawdy. Wskazuje, że dogmat wierności obowiązuje bezwzględnie. I tu, i tam. Sprzeniewierzenie mu się jest niebezpieczne, burzy spokój sumienia. W dziele Kazimierza Brauna widać Polskę, tę tutaj za ścianami naszych krajowych twierdz-mieszkań i tę poza jej granicami, o której wszyscy marzą, do której jadą w myślach i w rzeczywistości.

Barskiego, bohatera „Pożegnania z Alaską" poznajemy jako człowieka w ciągłej pogoni i ucieczce, wycofującego się, łatwo poddającego się. Dlaczego? Bo uformowały go całe dekady komunizmu w PRL, potem spalił się w czasie legendarnych, zbyt krótkich miesięcy zwycięskiej „Solidarności". Stan wojenny brutalnie przełamał jego życie, spopieliła je do reszty emigracja. Co pozostało? Klasztor. Tam bowiem zaprowadza swego bohatera Kazimierz Braun w finale swej książki, która jest niejako rachunkiem sumienia, poprzedzającym spowiedź z całego życia. Głos Brauna to jeden z wielu przypominających o przykazaniu wierności. Są ich dziesiątki. Ale odosobnione. Nie

udawajmy, ze ich nie słyszymy. One głośno pytają, gdzież ta Polska? One głośno wyrażają troskę o prawdę: aby awers przystawał do rewersu.

Czytając powieść Kazimierza Brauna „Dzień świadectwa" (Oficyna Wydawnicza 4K, 1999) zastanawiałem się, co należy bardziej cenić u pisarza: czy to, co przeżył, czy to, co przemyślał. Cenię bowiem jedno i drugie. „Dzień świadectwa" to powieść o gorzkim smaku, mimo zwycięskiej pointy. Ale wiem doskonale, że taki smak ma wybitna literatura. A bolesna to lektura, chociaż usytuowana w świetle pontyfikatu Jana Pawła II. Narracja książki ma ukryty świadomie przez pisarza nerw antycznej tragedii, rozgrywającej się w pamiętnych latach 1978-1998. W polskich latach, którym świat przyglądał się z zazdrością. Bohaterem „Dnia świadectwa" jest ksiądz Andrzej i jego droga zarówno do kapłaństwa, jak i poprzez kapłaństwo. Kazimierz Braun kreując postać współczesnego duchownego, wystawił się bez obronnej tarczy na niebezpieczeństwa. Na ile potrafił okazać się „sprawiedliwym", jaki procent prawdy zdołał ukazać, jakie obszary kapłańskiej osobowości okazały się tabu? Portret księdza Andrzeja, kapłana nieprzeciętnego, swego czasu studenta Karola Wojtyłły, ma jedną bardzo przekonywująco i silnie wyeksponowaną cechę: wiarę. Wiele scen powieści rozgrywa się w pustym kościele, w którym ksiądz Andrzej odprawia Mszę świętą. Mimo osamotnienia i ogołocenia ksiądz Andrzej wierzy niezłomnie. Te sceny porażają autentyzmem, są na granicy

proroczych uogólnień, ich wizja wprost przeraża człowieka wierzącego. Mocy nabiera przywoływana wielokrotnie trójca słów papieskich: „Nie lękajcie się!” Bije z nich zapowiedź niezłomności ludzi i czasów pod zwycięskim znakiem Krzyża.

Wzorem dla prozaików obierających za bohatera kapłana pozostaje wciąż opowiadanie Kazimierza Przerwy-Tetmajera „Ksiądz Piotr” z roku 1895. Powieść Kazimierza Brauna zdaje się stawać na wysokości trudnego zadania. Autorowi nie brak talentu i rozległej wiedzy, zarówno psychologa, jak i prozaika współczesności. Patrzenie na sprawy polskie z amerykańskiego kontynentu (powieść została napisana w Ameryce) pozwala na wizjonerską swobodę i lekkość w budowaniu materiału powieściowego, w którym obok narracji linearnej pojawiają się trzy opowiadania: „Brzemię ziarna”, „Brzemię Babilonu” i „Brzemię prochu”. Konkluzja jest oczywista: życie kapłana to brzemię. Bardzo ciężkie. Duchowny wygląda bardzo pięknie i szczęśliwie za ołtarzem, u jego stopni. Ale to tylko godzina. A pozostałe dwadzieścia trzy godziny każdej doby? Czym wypełnione? Samotnością! Jakże czasem trudną, bolesną, tragiczną.

Kazimierz Braun, pisarz wytrawny i doświadczony, po mistrzowsku kreśli meandry życia księdza Andrzeja. Ale tajemnica powołania i tajemnica życia podczas realizacji Bożego wyboru – to chyba dwie największe tajemnice każdego kapłana.

Może nigdy nie da się ich w pełni odsłonić, może nie trzeba. Twórca „Dnia świadectwa” pisze bez uduchowionego kamuflażu: „Trudno, jakby coraz trudniej jest być księdzem we współczesnej cywilizacji z jej laickością, relatywizmem, roztargnieniem i pokusami. (...) Sprzeciwianie się kulturze powoduje izolację. Izolacja sprowadza samotność. Błogosławiona i wzbogacająca pustelnika, staje się przeszkodą w pełnieniu służby przez kapłana diecezjalnego, który ma pracować z ludźmi. Jak to pogodzić?” Czytelnik powieści Kazimierza Brauna wyciąga rękę w stronę księdza Andrzeja, i w ogóle w kierunku wszystkich księży.

Obszerny tom prozy (ponad czterysta stronic) zatytułowany „Ptak na szczudłach i inne opowiadania amerykańskie”, (Wydawnictwo Adam Marszałek, 2003) stanowi kolejną, ważną i cenną pozycję w dorobku pisarskim Kazimierza Brauna. Jego „opowiadania amerykańskie”, to zbeletryzowane noty do wielkiej emigracyjnej epopei lat osiemdziesiątych XX stulecia, sięgające jednak aż do korzeni polskiej emigracji, z poł. XIX wieku. Emigracja jest naszą narodową „specjalnością”. Historia każe udać się na nią zarówno prostemu górnikowi z Podhala, jak i wybitnemu twórcy kultury. W pewnym momencie ich życia lub twórczości każdy z tych ludzi nie mógł, jak mówi Hamlet: „ścierpieć niesprawiedliwości ciemiężycieli, łamania prawa, bezczelności władz i upokorzeń, jakich miernota nie szczędzi zasłudze”. Wielu też wygnała z Polski zwyczajna bieda. Ameryka nie odtrącała Polaków, pozwalała narodzić się na nowo, dawała

szansę. Często może gorzka, ale realną.

Kazimierz Braun dokonuje perfekcyjnej analizy układów polsko-amerykańskich. Z chirurgiczną precyzją charakteryzuje emigrantów, zwłaszcza tych, których zrodził czas poprzedzający stan wojenny i wydarzenia po 13 grudnia 1981 roku. To jest mocny, sugestywny i równocześnie bardzo obiektywny fundament tej prozy, pisanej z mistrzowskim wyczuciem języka. Doskonała znajomość osobiście przez pisarza „przerabianych" realiów amerykańskich sprawia, że „Ptak na szczudłach" ma walor dokumentu. Jest Kazimierz Braun wiarygodnym dokumentalistą o zacięciu polityka. Przypomina w tym sławnego kuriera warszawskiego Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Wszyscy wybierający się za Wielka Wodę, oraz ci, którzy już tam mieszkają, winni obowiązkowo zapoznać się z tą książką. Przyjaźń amerykańsko-polska, od początku XXI wieku na nowo umacniana, na tej lekturze wiele zyska. Parterowa Ameryka przekłuta drapaczami chmur może być gniazdem dla polskich ptaków stojących, jak aktorzy z tytułowego opowiadania, na szczudłach – na szczudłach emigracji. Opowiadanie „Pożoga" wiele mówi o tym, jak zostać Amerykaninem, jest prawie samouczkiem w tej kwestii. Autor jednak sceptycznie odnosi się do chwili, kiedy Polak po latach amerykańskiego „terminowania" uzyskuje upragnione obywatelstwo i może zamiast śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła"….intonować ze wzruszeniem nie pozbawionym nostalgii „Good Bless America".

W pisarskim lustrze Kazimierza Brauna widać zarówno Stany Zjednoczone jak i Rzeczpospolitą. Autor nie szczędzi słów krytyki pod adresem tej drugiej. Niektóre stronice to ostra satyra na współczesną Polskę. Wydaje się, jakby były pisane kawałkiem rozbitej, polskiej szyby. Autor boleśnie zapytuje: skąd się wzięli emigranci, co tu robią, jakie sensy i jakie bezsensy kierują ich krokami po nocnym Manhattanie? Co ci ludzie niosą w sobie? Co gubią w tłumie? Na ile są ludźmi, na ile drobinami w ogromnej kotłującej się masie? Jakie są cele ich dróg? Ku czemu zmierzają? Od czego uciekają? „Czasem mogło się wydawać, że w tłumie ludzi przechadzają się też zwierzęta, upiory, jakieś potwory z Boscha, Van Eycka, Schongauera, Goyi, Malczewskiego, Lebensteina, albo Spielberga." W opowiadaniu „Interview" zawarty jest swoisty rachunek sumienia. Powinni go czynić codziennie wszyscy Polacy, aby pojąć „co to jest polska miazga, polski zakalec, polski kołtun i polski paradoks, nie mówiąc już o polskim piekle".

Papież Jan Paweł II uważa, że kto dostrzega w sobie Bożą iskrę powołania artystycznego, musi być jej wiernym. Powołanie pisarza, poety, malarza, rzeźbiarza, aktora, reżysera, muzyka zobowiązuje przed Bogiem i społeczeństwem, w którym artysta żyje. W „Liście do artystów" (Watykan, kwiecień 1999 r.) Ojciec Święty pisze: „Nie można zmarnować talentu, ale trzeba go rozwijać, ażeby służyć bliźniemu. Społeczeństwo potrzebuje artystów. Artyści mają swoje miejsce, gdy idąc za głosem

natchnienia tworzą dzieła naprawdę wartościowe i piękne, nie tylko wzbogacając dziedzictwo kulturowe każdego narodu i całej ludzkości, ale pełniąc także cenną posługę społeczną na rzecz dobra wspólnego". I dalej Jan Paweł II pisze, że poszukiwanie prawdy i piękna, a także staranie o ich dalszy rozwój są rzeczywiście szczególną służbą świadczoną ludzkości. Odrębne powołanie każdego artysty określa pole jego służby, a zarazem wskazuje zadania, które go czekają, ciężką pracę, do jakiej musi być przygotowany, i wreszcie odpowiedzialność, którą powinien podjąć, nie kierując się dążeniem do próżnej chwały, żądzą taniej popularności, ani tym bardziej osobistymi korzyściami. Istnieje bowiem pewna etyka czy wręcz duchowość służby artystycznej, która ma swój udział w odrodzeniu każdego narodu. Polska ma szansę takiego ponownego narodzenia się. Kazimierz Braun chce być pomocny w tym procesie.

Narrator „Pożegnania z Alaską" to z pewnością w wielu wypadkach alter ego autora. Czytamy: „Zawsze traktowałem pisanie jako samolubne buszowanie po niezmierzonych przestrzeniach kosmosu wolności duchowej, jak też i jako niewdzięczną służbę publiczną. Pisanie było dla mnie codziennie praktykowaną wiernością – tradycji, językowi, zasadom, ideałom i wartościom. Umożliwiało mi badanie własnego sumienia, rozważanie marności świata, dziękczynienie i przygotowanie się do nieuchronnego, a zarazem nakładało na mnie ciężar analizy życia społeczeństwa, losu narodu, przemian historii". Kazimierz

Braun wyznawca credo, któremu na imię wierność, zajął godne miejsce w gronie najwybitniejszych polskich pisarzy-społeczników, mieniących się słusznie żywym sumieniem narodu.

Czy jest szansa na beletrystykę zaangażowaną bez reszty w sprawy polskie? Myślę, że jest. Czekamy na powieści, jak w czasach Prusa i Żeromskiego, które by próbowały rozstrzygać dylematy moralne, dawać prawdy obiektywne, książki, o których mogliby z przekonaniem pisać maturzyści. Wypatrujemy w księgarskich witrynach książki, która byłaby sumieniem narodu rozpisanym na stronice. Mało jest obecnie pisarzy tak odważnych jak Kazimierz Braun. Proza Brauna dodaje odwagi.

Recenzja ukazała się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto w 2003 r.

„Araukana”

w tłumaczeniu Czesława Ratki

Florian Śmieja

W numerze 7-8.2015 „Odry” sygnalizowałem ukazanie się pierwszego tomu hiszpańskiej epopei „Araukana” w przekładzie Czesława Ratki. Teraz doczekaliśmy się drugiego tomu tego zdumiewającego przedsięwzięcia. Tłumacz w jednym z listów obrazuje ogrom pracy „przełożyłem 2241 oktaw i zostało jeszcze tylko 391”.

Gdy wśród rzesz oszołomów, których nieba nam nie oszczędzają, pojawi się nagle olśniewający fantasta, mamy rzadką okazję do niezwyczajnej radości. To takimi fenomenami winne się szczycić społeczeństwa chcące uchodzić za cywilizowane. Dlatego ogromnie się cieszę, że mój krótki wypad do Polski w maju 2015 obok zdobycia rzadkiego dyplomu i hiszpańskiego orderu, pozwolił mi poznać w ostatnim dniu mojego pobytu, heroicznego tłumacza „Araukany”, Czesława Ratkę. Jego niezwykłość polega na tym, że odebrawszy zrozumiałe na Śląsku wykształcenie i wykonując wyuczony zawód inżyniera, nie kontentował się, ale

poszedł za głosem serca i poświęcił się jego trudnym, ale wzniosłym namowom. Przyswoił sobie w konsekwencji piękną mowę kastylijską, by przełożyć na kunsztowny język polski zacną epopeję przedstawiającą dumne zmagania bitnych plemion indiańskich z konkwistadorami Nowego Świata. Te piękne królewskie oktawy, które nam Ratka stwarza, najlepiej świadczą o jego zwycięskiej przewadze w tak ambitnym zmaganiu. Chylę czoła przed jego wspaniałym przedsięwzięciem. Swój przekład zaczyna tak:

Nie o miłości śpiewam, nie o damach

Nie o konkurach szlachetnych rycerzy,

Nie o ich troskach, czułościach, staraniach,

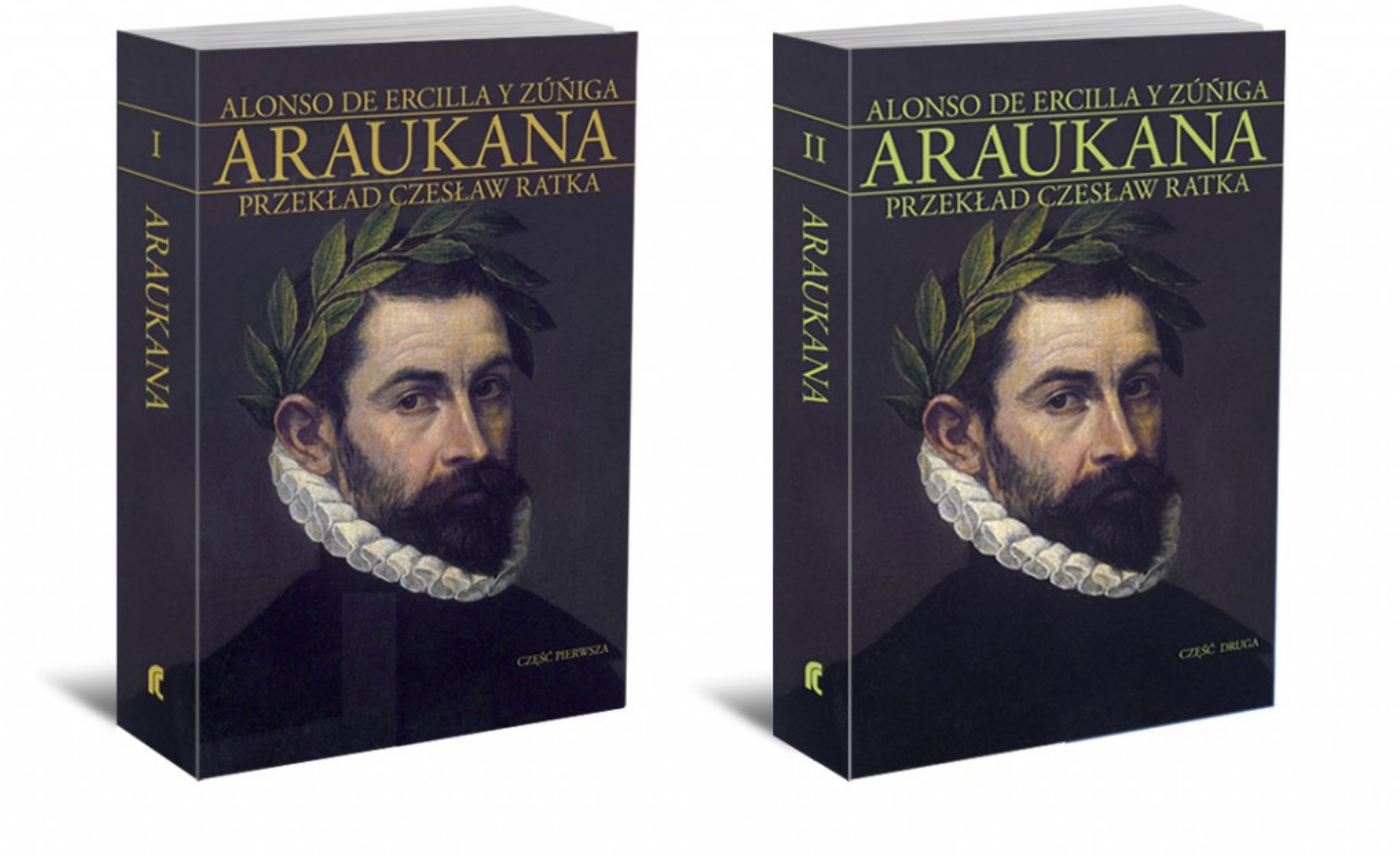
Ani o głębi ich miłosnych przeżyć,

Lecz o odwadze i o dokonaniach

Owych walecznych hiszpańskich żołnierzy,

Którzy na karki wolnych Araukanów

Włożyli jarzmo po krwawym zmaganiu.



Od tłumacza i wydawcy

Wszystko, co napisałem w tekście Od tłumacza dołączonym do mojego przekładu części pierwszej Araukany, również w części drugiej zachowuje swoją aktualność; dlatego ograniczę się tu jedynie do pokazania różnic między nimi. Pierwsza przedstawia przebieg zbrojnego zrywu chilijskiego plemienia Mapuczów (w epopei nazwanych Araukanami) przeciwko inwazji Hiszpanów do czasu przybycia Ercilli do Chile – czyli znany mu jedynie z opowiadania innych osób; druga jest jego relacją o tym, w czym osobiście wziął udział. Pierwsza jest spontaniczną reakcją

młodego wrażliwego człowieka na falę nowości zewsząd atakującą jego zmysły i pobudzającą wyobraźnię; druga jest efektem głębszych przemyśleń, po części inspirowanych, być może, głosami krytyki.

Poeta tworzył pierwszą część Araukany przez dwanaście lat. Jej publikacja przyniosła mu uznanie i sławę, a tym samym zachętę do tworzenia następnych pieśni. Praca nad drugą częścią (pieśni XVI-XXIX) trwała kolejnych dziewięć lat i kiedy wreszcie doszło do jej wydania (w roku 1578), od zakończenia walk upłynęło już lat dwadzieścia. Tymczasem w Europie działy się sprawy bliższe ówczesnemu czytelnikowi i bardziej niż wydarzenia chilijskie istotne dla jego przyszłości. Sukcesy militarne Filipa II, a szczególnie zwycięstwo w bitwie pod Lepanto – największej bitwie morskiej wszech czasów – pozwalające mu lepiej zapanować nad Morzem Śródziemnym i przyhamować ekspansję Imperium Osmańskiego, zdawały się sytuować Hiszpanię na pozycji najpotężniejszego państwa na świecie – i tym zapewne żyli wtedy jej mieszkańcy.

Ercilla, uznany i ceniony poeta, świadomy ciążącego na nim obowiązku pisania o sprawach aktualnych i ważnych dla kraju i króla, a jednocześnie niedopuszczający myśli, że mógłby nie wywiązać się z danego słowa i porzucić niedokończoną Araukanę, stanął przed problemem znalezienia sposobu uwiecznienia piórem jednego i drugiego. Postanowił opisać

wszystko razem – w jednej księdze. Pomysł połączenia w nowym tomie wątków przesuniętych względem siebie o dwie dekady, których nie łączą z sobą ani postaci bohaterów, ani miejsce akcji, ani żadna intryga, stanowił dla pisarza nie lada wyzwanie. Zabieg ten miał mu wszakże przynieść coś więcej niż tylko możliwość urozmaicenia treści poematu, zawężonej w części pierwszej do tematyki wojennej (nad czym sam nieraz ubolewa, choć pewnie z niemałą dozą kokieterii w stosunku do czytelnika); miał mu stworzyć okazję do popisania się swym warsztatem pisarskim przy splataniu w jedną spójną całość tak bardzo nieprzystających do siebie treści. Spoiwem literackim dla nowej kompozycji utworu miała się stać ingerencja czynnika nadzwyczajnego (magii), nierzeczywistego (marzeń sennych), nadprzyrodzonego (bóstw, bytów mitologicznych, zjaw niebiańskich, a nawet – co zaskakujące w tym otoczeniu – samego Boga), wpływająca na losy śmiertelników, bohaterów eposu, i przekształcająca wierszowaną relację, jaką była część pierwsza Araukany, w dzieło literackie zawierające w sobie wszystkie elementy epopei klasycznej.

Nie chcę, bo nie taka jest rola tłumacza, wypowiadać się na temat sztuki pisarskiej autora, bogactwa leksykalnego i frazeologicznego, różnorodności figur stylistycznych i środków wyrazu, jakości wiersza i rymów ani na temat kompozycji dzieła − niech wystarczy moje zapewnienie, że z reguły oprócz przeniesienia treści oryginału na grunt języka polskiego dążę do

powtórzenia w tłumaczeniu wszystkich form i struktur obecnych w danej oktawie – oczywiście, na ile jest to możliwe (na przykład rymy homonimiczne, których zastosowanie w tłumaczeniu w miejscu ich wystąpienia jest praktycznie niemożliwe, stosuję przy najbliższej nadarzającej się okazji, by pokazać, że są używane przez autora). Osobom zainteresowanym porównaniem przekładu z oryginałem proponuję wizytę na jednej z licznych witryn internetowych prezentujących tekst Ercilli. Sam opierałem się na cyfrowej wersji całościowego (obejmującego wszystkie 37 pieśni) wydania chilijskiego z roku 1910 , dostępnej pod adresem: Biblioteca Virtual Miguel de Cervantes , oraz na niedawnym wydaniu książkowym w opracowaniu Isaiasa Lernera . Oba źródła bazują na wydaniu licencjata Castro z roku 1597.

Pamiętam, że prawie pół wieku temu, kiedy zaczynała się moja fascynacja historią podboju Ameryki, natrafiłem w jednej z lektur na wzmiankę o istnieniu trzyczęściowej wierszowanej relacji z walk Hiszpanów o opanowanie terytoriów chilijskich, noszącej tytuł La Araucana, napisanej przez Alonsa de Ercilla. Nie przypominam sobie dziś tytułu tamtej książki ani jej autora, istotna jest jednak opinia o Araukanie, jaką tam przeczytałem, ponieważ podobną lub wręcz taką samą spotykałem później kilkakrotnie również u innych autorów. Otóż pierwsza część Araukany była tam oceniana jako interesująca, druga – jako mało wiarygodna, gdyż autor niepotrzebnie miesza fakty historyczne z wątkami nierzeczywistymi i mitologicznymi, zaś trzecia została uznana za zbiór nieistotnych informacji na różne tematy. Nie

ukrywam, że dla mnie, poszukującego wówczas tekstów na temat wypraw odkrywczo-zdobywczych z pierwszej ręki (relacji ich uczestników), taki sposób przedstawienia Araukany nie zachęcał do sięgnięcia po nią. Nie pomyślałem, że mam do czynienia ze spojrzeniem historyka (nie miłośnika literatury pięknej) i że ktoś piszący o jej wartościach literackich miałby o niej zdanie diametralnie inne. Problem polegał jednak na tym, że nie było innych opinii. Nikt się na temat Araukany nie wypowiadał, bo mało kto wiedział w ogóle o jej istnieniu. Krążyła więc tu i ówdzie powtarzana bezrefleksyjnie jedna ocena (jak przytoczona wyżej), utrwalająca jej fałszywy obraz. Uzupełniały ją czasami tendencyjne i całkowicie zmyślone plotki o jej autorze.

By nie być gołosłownym, wspomnę tylko, że jedno z owych pomówień mających deprecjonować osobę autora głosi, iż Ercilla – skazany przez Garcię Hurtado de Mendoza, gubernatora Chile, na karę śmierci za udział w pojedynku (zamienioną później na wygnanie) – motywowany ponoć chęcią osobistego odwetu na gubernatorze, celowo nie wymienia go w poemacie ani razu. Tymczasem w części pierwszej znajdujemy o don Garcii dwie oktawy pełne pochwał (XIII, 13-14), w części drugiej jest on wymieniony z imienia siedem razy, zawsze w pochlebnym tonie – ponadto wygłasza zajmującą sześć oktaw mowę do żołnierzy, by zachęcić ich do walki – a w części trzeciej jest bohaterem siedmiu oktaw, z których cztery to kolejna przemowa. Jest więc rzeczą zdumiewającą, że choć rozpowszechnianie wyssanej z

palca sensacji o rzekomym uprzedzeniu Ercilli do gubernatora demaskuje tego, kto o tym pisze, że książki nie czytał, jeszcze i dzisiaj niejeden z piszących o Araukanie podaje ją jako pewnik. Smaczku sprawie przydaje fakt, że madryckie wydanie Araukany z roku 1578 zawierało wśród sonetów komponowanych zwyczajowo przez osoby chcące pochwalić dzieło i jego autora sonet autorstwa Garcii Hurtado de Mendoza . A zatem jego stosunki z Ercillą były wówczas więcej niż poprawne. Jak widać, Araukana ciągle czeka na rzetelny osąd.

Mimo iż Ercilla zapewnia, że przedstawiane przez niego wydarzenia są zgodne z faktami, nie próbowałbym szukać w Araukanie źródeł prawdy historycznej. O wartości tego utworu stanowią jego walory literackie. Już sam Cervantes wystawił im najwyższą ocenę, zaliczając Araukanę do „najpiękniejszych kobierców poezji, jakie ma Hiszpania" i do „najlepszych książek ze wszystkich, które zostały spisane po kastylijsku bohaterskimi wersami i mogą rywalizować z najsłynniejszymi z Włoch" . Mam nadzieję, że moja praca zyska aprobatę polskiego czytelnika, a ten „najlepszy i najsłynniejszy poemat epicki w języku hiszpańskim" − niedoceniany u nas, bo nieznany − doczeka się sprawiedliwej oceny, zaś jego autor zajmie należne mu miejsce wśród największych twórców literackich Renesansu.

Czesław Ratka

Opis książki który znalazł się na okładce II tomu.

Druga część Araukany przedstawia dalszy przebieg powstania chilijskiego plemienia Mapuczów (Araukanów) przeciwko inwazji Hiszpanów. Autor relacji, a zarazem uczestnik opisywanych wydarzeń, hiszpański szlachcic Alonso de Ercilla y Zúñiga, kontynuuje swoją poetycką opowieść o zmaganiach z ludem, który jako jedyny w obu Amerykach zdołał obronić swoje ziemie przed zachłannością konkwistadorów. Od ostatnich walk minęło już jednak dwadzieścia lat, a poeta od dawna mieszkał w Madrycie, gdzie – jak wszyscy – żył atmosferą sukcesów militarnych króla Filipa II, decydujących o mocarstwowej pozycji Hiszpanii w świecie; takich na przykład, jak rozgromienie floty osmańskiej w bitwie pod Lepanto. Mając świadomość wagi bieżących spraw, a jednocześnie chcąc, jak obiecał, opowiedzieć o wojnie chilijskiej do końca, postanowił połączyć oba tematy. Ujęcie w jednej księdze tak nieprzystających do siebie historii (przesuniętych w czasie o dwie dekady i rozgrywających się na różnych kontynentach) stało się możliwe dzięki wzbogaceniu narracji, za przykładem autorów starożytnych, o wpływ czynników pochodzących ze świata nierzeczywistego (magia, marzenia senne, ingerencja bóstw), stanowiących spoiwo literackie dla wszystkich zawartych w nowym tomie treści. W ten sposób wierszowana relacja historyczna, jaką była część pierwsza, nabiera w części drugiej charakteru bardziej literackiego, stając się bliższa epopei klasycznej.

Znajomość najlepszych wzorów antycznych i włoskich nowości renesansowych oraz umiejętne budowanie w oparciu o nie własnego warsztatu pisarskiego, bogactwo treści, języka i form wyrazu stawiają Ercillę w gronie najwybitniejszych poetów epickich w Hiszpanii; jego Araukana – zdaniem Cervantesa – może rywalizować z czołowymi dziełami literackimi włoskiego Odrodzenia.

Prezentowany tu polski przekład części drugiej, obejmującej pieśni XVI-XXIX, jest pierwszym od czasu publikacji hiszpańskiego oryginału w roku 1578.

Misteria Paschalia: Wielki Tydzień

muzyki dawnej



13. Misteria Paschalia, fot. Wojciech Wandzel.

Korespondencja z Polski

Barbara Lekarczyk-Cisek

W Krakowie w marcu 2016 r. miał miejsce 13. festiwal Misteria Paschalia – Wielki Tydzień muzyki dawnej we wspaniałych wykonaniach prawdziwych mistrzów. Była to wielka muzyczna uczta.

Festiwal ma już swoją tradycję i bardzo wyrazisty charakter: prezentuje muzykę renesansu i baroku, związaną z okresem Wielkiego Tygodnia i Wielkanocy. Wśród wykonawców przeważali zatem artyści specjalizujący się w muzyce dawnej, granej na oryginalnych instrumentach – prawdziwi mistrzowie wykonawstwa historycznego, m.in. **Jordi Savall z zespołem Le Concert des Nations, Rinaldo Alessandrini, Jan Tomasz**

Adamus z Capella Cracoviensis.

Ostatnich siedem słów Zbawiciela – muzyczne rekolekcje à rebours

Zaczęło się od „**Die sieben letzten Worte unseres Erlösers am Kreuze” Josepha Haydna** w wykonaniu **Jordi Savalla** i orkiestry **Le Concert des Nations.** Skomponowany ok. 1785 roku utwór składa się z siedmiu sonat i introdukcji, będących muzyczną ilustracją do siedmiu słów Chrystusa na Krzyżu. Kompozycja jest jednym z ostatnich dzieł, mającym swoje źródło w teatralnym żywiole baroku; jest przy tym dziełem totalnym, obejmującym zarówno muzykę, jak też słowo i architekturę wraz z dekoracją plastyczną. Wykonywana pierwotnie w zaciemnionym kościele, oświetlonym jedynie dużą lampą, miała przede wszystkim służyć kontemplacji. Kaznodzieja cytował słowa Chrystusa, rozważał je, po czym klękał przed ołtarzem, a następujący potem moment ciszy wypełniała muzyka.

Na krakowskim festiwalu muzyka nie miała jednak charakteru sakralnego. Po pierwsze dlatego, że zaprezentowano ją w sali Centrum Konferencyjnego i jedynie wyświetlony frontalnie obraz wnętrza kościoła symbolizował pierwotne przeznaczenie utworu. Podobnie było z tekstami rozważań. Cytatom biblijnym

towarzyszył komentarz, pozostający jednakże w opozycji do prawd wiary: „Siedem słów człowieczych”, których autorem jest José Saramago – portugalski pisarz, laureat literackiej Nagrody Nobla w 1998 roku. Tekst pochodzi z uznanej za bluźnierczą „Ewangelii według Jezusa Chrystusa”. Monolog tytułowej postaci (w rolę recytatora wcielił się krakowski aktor Radosław Krzyżanowski) jest w istocie pełen zwątpienia w sens ofiary Krzyża, mógł zatem budzić (i budził) uzasadnione kontrowersje. W kontekście Wielkiego Tygodnia zabrzmiał jak szyderczy zgrzyt. Ostatecznie jednak te „rekolekcje” *à rebours* wynagradzała słuchaczom pełna harmonii, piękna i ponadczasowa muzyka Haydna – prawdziwy balsam na duszę.



Jordi Savall, fot. Grzegorz Ziemianski.

Kain w brawurowej interpretacji Soni Priny

Drugiego dnia festiwalu znakomity włoski klawesynista i dyrygent – **Rinaldo Alessandrini** zaprezentował oratorium **Alessandra Scarlattiego**: „**Cain overo il primo omicidio – Kain, czyli pierwsze zabójstwo”.** Dobrze się stało, że przygotował to mało dziś znane, a przez współczesnych niedoceniane dzieło, okazało się bowiem, że jest to perełka niezwykłej urody – przede wszystkim ze względu na wspaniałe arie i duety. Treść nawiązuje do znanej historii z Księgi Rodzaju,

ale znacznie ją rozbudowuje. Adam i Ewa ubolewają nad tym, czego się dopuścili i pragną, aby synowie: Kain i Abel uzyskali u Boga łaskę i przebaczenie poprzez złożenie ofiar. Targany sprzecznymi uczuciami Kain, pragnie pozbyć się brata, gdyż ten – harmonijny i dobry – stoi, jego zdaniem, na przeszkodzie temu, aby Kain był równie szczęśliwy i kochany przez Boga i ojca. Miotają nim niepokój i lęk, choć stara się nie okazywać bratu swojej nienawiści, aby w ten sposób zmylić go i unicestwić na odludziu, w nadziei, że nikt tego nie zauważy. Zbrodni jednak ukryć się nie da. Bóg skazuje Kaina na wygnanie, a rodzice pozostają sami i rozpaczają. Utwór niesie jednak pociechę – głos zmarłego Abla, a także obietnica zbawienia stają się przyczyną, dla której oratorium kończy pełen radości duet Adama i Ewy.

Sonia Prina (kontralt o niezwykłej barwie i dramatyzmie) jako Kain, miała w istocie niełatwe zadanie ukazania tych wszystkich emocji, które targają jej bohaterem i zrobiła to doskonale. Artystka zwróciła moją uwagę już w 2013 roku, kiedy to podczas festiwalu Wratislavia Cantans brawurowo zaśpiewała rolę Galatei w operze pasterskiej G. F. Händla „Acis, Galatea i Polifem”. W tym samym utworze wystąpiła także wykonawczyni roli Ewy – **Roberta Invenizzi (**sopran). Podczas wspomnianego festiwalu słuchałam także Soni Priny jako Judyty w oratorium Wolfganga Amadeusza Mozarta „La Betulia liberata KV 118”. Po raz kolejny mogłam przekonać się, jaka z niej wspaniała interpretatorka różnorodnego repertuaru. Artystka o emploi

współczesnej wokalistki rockowej – była w tytułowej roli Kaina po prostu genialna. Liczne kontrasty w śpiewanych przez nią ariach, wspomniany już niepokój i strach znalazły w niej niezrównaną interpretatorkę. I chociaż wszyscy śpiewali znakomicie: cudowna, liryczna **Monica Piccinini** (sopran) jako Abel, **Carlo Allemano** (tenor) jako Adam (szczególnie fantastycznie brzmiały jego duety z Ewą – Robertą Invernizzi), dysponujący niezwykle mocnym głosem **Salvo Vitale** (bas, głos Lucyfera), świetny kontratenor **Aurelio Schiavoni** (głos Boga), to jednak rola Kaina w interpretacji Soni Priny dawała najwięcej możliwości i śpiewaczka wszystkie je fenomenalnie wykorzystała.



Monika Piccinini (Abel, sopran) i Sonia Prina (Kain, alt)

Ciemne jutrznie i mroczny Gesualdo

Do koncertów, które długo pozostają w pamięci, zaliczyć należy także „**Tenebrae responsoria" Carla Gesualda da Vanosa**. „Ciemne jutrznie" swoją paradoksalną nazwę zawdzięczają temu, że podczas tych nabożeństw, odbywających się od Wielkiego Czwartku do Wielkiej Soboty, wraz z odśpiewaniem kolejnych antyfon wygaszano świece – aż do nastania zupełnych ciemności. Celebrację kończyła głośna zapowiedź wielkanocnego „trzęsienia ziemi". Responsoria stanowiły rodzaj lirycznych komentarzy do

czytań z Lamentacji oraz kazań św. Augustyna i Bedy Wielebnego. Teksty dość swobodnie parafrazowały cytaty biblijne.

Kompozytor „Tenebrae responsoria” – Carlo Gesualdo, książę Venosy, pozostał w pamięci jako oryginalny madrygalista, ale również jako „włoski Drakula”. W filmie dokumentalnym Wernera Herzoga: „Śmierć na pięć głosów” został przedstawiony jako człowiek okrutny i pełen sprzeczności. Uprawiał teatr okrucieństwa na długo przed Artaudem – i to w dosłownym tego słowa znaczeniu. Zabójstwo żony i jej kochanka było starannie wyreżyserowane, wyjątkowo okrutne i miało swoją publiczność – zamkową służbę. Jakby tego było mało, książę, przekonany, że jego maleńki synek jest owocem zdrady, kazał służącym spuścić go w kołysce przez okno i tak długo był kołysany aż umarł. Okrutnej tej scenie towarzyszyła, a jakże, muzyka: dziecko umierało przy akompaniamencie chóru śpiewającego madrygały o pięknie umierania… Gesualdo nigdy nie został ukarany, ale popełnione zbrodnie sprawiły, że do końca życia cierpiał na melancholię, a nawet zaczął gustować w masochizmie i umartwieniach. Ukojenie odnajdywał także, a może przede wszystkim, w twórczości. „Muzyka była dla Gesualdo rodzajem lekarstwa. Komponował w chwilach największej rozpaczy i to w muzyce znajdował ujście dla swojego cierpienia” – pisze Preziosi. Jego stałym librecistą był Torquato Tasso, a tematami utworów – śmierć, cierpienie i rozpacz. Paradoksalnie, ten okrutnik i

psychopata stał się żarliwym wyznawcą, o czym świadczy wiele jego utworów, m.in. wspomniane „Ciemne jutrznie", których edycja ukazała się w 1611 roku i była muzycznym odpowiednikiem obrazu „Il perdono di Gesualdo" („Przebaczenie Gesualdo"), przedstawiającego scenę Sądu Ostatecznego, a przeznaczonego do prywatnej kaplicy książęcej. Okrutny książę czerpał zatem nadzieję z medytacji Męki Pańskiej.

„**Tenebrae responsoria"** zabrzmiały w Kościele pw. św. Katarzyny, w wykonaniu członków **Capella Cracoviensis pod Janem Tomaszem Adamusem** i miały – trzeba to przyznać – głębokie, mroczne piękno i dramatyzm. Pogrążeni w ciemnościach, z których, jak na obrazach Rembrandta – wyłaniali się punktowo oświetleni muzycy, słuchaliśmy tej muzyki jak zafascynowani. Całość tworzyła rodzaj barokowego misterium, pełnego wizualnych i muzycznych kontrastów. Gdyby nie przeraźliwe zimno, które mocno doskwierało, byłoby idealnie… Może jednak chodziło o to, abyśmy również doświadczyli okrucieństwa księcia i także trochę pocierpieli.



Fabio Biondi

Cudne arie, duety i tercety w Oratorium o św. Antonim

Rekompensatą za cierpienia nieodłącznie, jak się okazuje, związane z postacią mrocznego księcia Gesualdo, było prawdziwe odkrycie: „**Oratorium o św. Antonim**” trochę zapomnianego kompozytora **Michele Falco,** które przywiózł do Krakowa niezawodny **Fabio Biondi.**

Tym razem o kompozytorze nie wiemy prawie nic, hipotetyczne

są nawet daty jego urodzin i śmierci. Wiadomo tylko, że skomponował operę w dialekcie neapolitańskim: „Lo Lollo Pisciaportelle” – jedną z pierwszych oper buffa. Wiemy ponadto, że poza operą komiczną komponował muzykę religijną, głównie oratoria. Jednym z nich jest właśnie „**Oratorio di Sant`Antonio**„. Tematem oratorium nie były, jak moglibyśmy oczekiwać, kuszenia świętego, ale jego decyzja pozostania w odosobnieniu, gorące modlitwy o wytrwałość (dlatego zostanie mu zesłany Anioł), a także pragnienie pokuty za grzechy (stąd upostaciowana Pokuta).

Fabio Biondi i Europa Galante zagrali oratorium niezwykle dynamicznie, ale najwspanialsze były jednak arie, duety i tercety. Wszystkie partie wykonane zostały przez soprany i mezzosoprany, nawet rola Chrystusa, co do której jesteśmy przyzwyczajeni, że zawsze śpiewa ją dostojny bas. Rolę świętego Antoniego zaśpiewała **Cécile van de Sant** – holenderska mezzosopranistka o wielkim doświadczeniu i bogatym repertuarze, m.in. w dziełach J.S. Bacha i G. F. Händla. Szczególnie pięknie brzmiały kobiece głosy w duetach (Antoni i Anioł czy Antoni i Jezus), a także w tercetach (Antoni, Anioł i Pokuta). Mnie szczególnie urzekł głos Francuzki **Lei Desandre** (mezzosopran) w roli Anioła, kiedy z towarzyszeniem oboju śpiewała „Con questo scudo” albo ze smyczkami, lutnią i kontrabasem: „Qual nocchiero in mezzo l`onde”. Interesująca była także aria „Egli di notte e giorno gira”, w której Pokuta

przestrzega przed Wężem-Szatanem, naśladując jego syk. Zresztą, mimo braku polifonii, wszystkie arie miały szczególnie piękne brzmienie. Michele Falco był moim osobistym odkryciem na Misteria Paschalia, za co jestem bardzo wdzięczna.

Minkowskiego repetycje z Requiem

W swojej relacji nie mogę pominąć **Marca Minkowskiego** i jego interpretacji „**Requem**” **W. A. Mozarta**. Słyszałam tyle znakomitych wersji tego utworu, że nie sądziłam, aby ta była czymś więcej niż tylko bardzo dobrym wykonaniem. A jednak… Swój koncert zadedykował Minkowski niedawno zmarłemu interpretatorowi muzyki dawnej, w tym także „Requiem” Mozarta – Nikolausowi Harnoncourtowi, który już w 1953 roku założył zespół muzyki barokowej (Concentus Musicus Wien), wykonujący muzykę na oryginalnych instrumentach z epoki lub ich kopiach.

Minkowski zaprezentował na Misteria Paschalia poprawioną wersję tradycyjną Franza Xaverego Süssmayra – ucznia Mozarta. Znakomicie wyważył transcendentny dramatyzm utworu: genialnie śpiewający **Cor de Cambra del Palau de la Música Catalana**, wzmocniony kotłami i kontrabasami, groźnie brzmiący w „Rex Tremendae” czy „Confutatis”, liryczny i

błagalny w „Voca me cum benedictis”. Podobnie głosy męskie („Mors slopebit et natura”) przeplatały się z żeńskimi („In quo totum continetur, Unde mundus judicetur), tworząc polifoniczną harmonię przenikających się dźwięków. Na koniec – subtelne, kontemplacyjne „Ave verum corpus” pozwoliło słuchaczom zamyślić się i wyciszyć…. Słowem, koncert był niezwykle piękny i wyjątkowy.

Udział w koncertach Misteria Paschalia, które ciągle we mnie brzmią, mimo upływu czasu, pozostanie wielką duchową ucztą.



Jan Tomasz Adamus

Lucian DAN Teodorovici: Warto podjąć trud pisania.



Lucian Dan Teodorovici, fot. Cato Lein.

Barbara Lekarczyk-Cisek: *Muszę Panu wyznać na wstępie, że Pańska książka ”Matei Brunul” zrobiła na mnie wielkie wrażenie.*

Przede wszystkim forma tej opowieści jest niezwykle interesująca. Porozmawiajmy więc o niej.

Lucian DAN Teodorovici: Dziękuję, że zaproponowała mi Pani rozmowę o literaturze, bo najczęściej zdarza się tak, że dla moich rozmówców książka jest tylko pretekstem do tego, aby rozmawiać o historii i polityce.

BLC: *Na początek proszę mi wyjaśnić, dlaczego podjął Pan temat, który dotyka komunistycznej przeszłości Rumunii – czasów, kiedy Pana jeszcze nie było na świecie…*

LDT: Trudno mi podać jedną przyczynę, ale z pewnością najbardziej zaważyło przeżycie z dzieciństwa. Otóż wychowywałem się u dziadków. Mój dziadek był wiernym i wytrwałym słuchaczem Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki. Kiedy miałem może osiem lat, widziałem go płaczącego podczas słuchania audycji, co zrobiło na mnie wielkie wrażenie, szczególnie że dziadek nie był człowiekiem łatwo ulegającym emocjom. To był dla mnie pierwszy impuls: chciałem zrozumieć, dlaczego dziadek płacze. Tak więc ten temat rósł we mnie latami. Później sam wielokrotnie, czytając o sprawach związanych z tamtymi czasami, przeżywałem to bardzo emocjonalnie.

BLC: do tłumaczki, Radosławy Janowskiej-Lascăr:

Pani Radosławo, a co Panią skłoniło, aby tę książkę przybliżyć polskiemu czytelników?

RJL: Kiedy pracowałam przed laty w Rumunii jako lektor języka polskiego, Lucian był studentem filologii rumuńskiej. Wprawdzie nie mieliśmy bezpośrednich kontaktów, ale już wówczas słyszałam o młodych zdolnych ludziach na filologii, a potem nawet czytałam jego opowiadania. W tym czasie jednak zajęta byłam tłumaczeniami z literatury polskiej na język rumuński. Dopiero w listopadzie 2012 roku, trochę przypadkiem, trafiłam na jego powieść „Matei Brunul". Byłam wtedy w Bukareszcie na wernisażu wystawy poświęconej Kazimierze Iłłakowiczównie, którą pomagałam przygotowywać. Przy okazji postanowiłam pójść na cmentarz, aby odwiedzić grób mojej zmarłej przyjaciółki, Polki. Czekając na kolegę, z którym miałam pójść na cmentarz, weszłam do pobliskiej księgarni, aby pooglądać nowości wydawnicze. Tak trafiłam na dwie książki: „Matei Brunul" oraz „"Medgidia miasto u kresu" Cristiana Teodorescu. Po przeczytaniu fragmentów pomyślałam jak Danusia z "Krzyżaków": "Mój ci on" i postanowiłam obie przełożyć. Szczególnie że historia, a zwłaszcza lata 50. należą do kręgu moich zainteresowań. Ciekawiło mnie, w jaki sposób obaj pisarze opowiadają o tamtych czasach.

BLC: *No właśnie, bardzo interesujące jest zagadnienie formy powieści. Swietłana Aleksijewicz, tegoroczna noblistka, nazywa*

siebie kronikarką duszy, a w Pana powieści podobne słowa padają w stosunku do lalki. Pana również interesuje przede wszystkim ludzka dusza w sytuacji opresji … Tytułowy bohater powieści ”Matei Brunul” jest lalkarzem, co pozwala użyć wieloznacznej metafory teatru marionetkowego. Skąd wziął się taki pomysł na opowiedzenie tej historii?

LDT: Taki zamysł, aby bohaterem był marionetkarz, miałem od początku, choć trudno mi jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się stało. Inspiracje płyną z różnych źródeł i nie zawsze są racjonalne. Tak się przy tym składa, że studiując reżyserię teatralną, miałem dużo zajęć z teatru lakowego. Dzięki temu zauważyłem, że podczas grania spektaklu aktor nie tylko animuje lalkę, ale też sam zmienia się pod jej wpływem. Zmienia się nie tylko jego fizjonomia, ale także sposób poruszania się. Chciałem dokonać swego rodzaju transpozycji z duszy marionetki (o której bohater pisze w swoim traktacie) na duszę człowieka. Mój bohater traci duszę, ponieważ traci pamięć i to właśnie marionetka ”przywraca” mu życie.

BLC: *Dla mnie symbol marionetki ma w Pana powieści niejednoznaczne, a niekiedy sprzeczne znaczenia. Z jednej strony teatr marionetkowy, mając bardzo starą tradycję, służy bohaterowi do tego, aby opowiadając pewną uniwersalną historię, mógł zrozumieć otaczający go świat, a tym samym przeżyć doświadczenie kolonii karnej, co się na dłuższą metę nie*

udaje. Z drugiej strony teatr marionetek jako dzieło ludzkiej wyobraźni pozwala zapomnieć o opresyjnej rzeczywistości, jak to ukazał Pan w najpiękniejszej scenie tej powieści, kiedy Bruno ożywia marionetkę i świat wokół przestaje istnieć. Czy zgodzi się Pan z taką interpretacją?

LDT: Pisarz zawsze marzy o tym, aby czytelnik odnalazł w jego książce te istotne myśli, które tam zawarł, toteż bardzo się cieszę, że Pani trafiła w sedno. Otóż w latach 50. ludzie nie byli już w stanie wyzwolić się z tego gorsetu, który im założono. Scena, w której Bruno animuje lalkę w obecności ”dobrego strażnika” jest kluczowa w powieści, ponieważ pokazuje, że bywają takie momenty, kiedy zrzucenie owego „gorsetu” mogło się – choć na krótką chwilę – wydarzyć.

BLC: *W Pańskiej powieści teraźniejszy czas narracji przeplata się z czasem przeszłym, dzięki czemu poznajemy coraz lepiej sylwetkę głównego bohatera, ale mimo wszystko pozostaje pewna sfera tajemnicy, do której nie mamy dostępu. Brunul okazuje się być o wiele bardziej wolnym człowiekiem, niż sądzą inni bohaterowie, a także czytelnik…*

LDT: Taki sposób narracji miał podkreślić, że początkowo, kiedy poznajemy bohatera, egzystuje on tak, jakby go nie było. Natomiast ten sam bohater w retrospekcjach jest człowiekiem bardzo aktywnym życiowo. Miałem taki zamysł, aby te dwie

narracje w pewnym momencie się przecięły. Skutkiem tego im bardziej nasz bohater w teraźniejszości staje się żywotny, tym bardziej Bruno z przeszłości staje się martwy.

Gdy zbierałem dokumentację do tej powieści, bardzo istotne były dla mnie konsultacje z doktorem Bogdanem O. Popescu – jednym z najzagorzalszych pasjonatów neurologii w Rumunii. Na kształt narracji wpłynęła więc także wiedza na temat amnezji, będącej siłą spowalniającą człowieka, jak to jest w przypadku mojego bohatera.

BLC: *Czy podczas pisania powieści były jakieś szczególnie trudne momenty?*

LDT: Było wiele takich momentów, kiedy próbowałem połączyć ze sobą wątek teatru lakowego, rzeczywistość historyczną i teraźniejszość. Odkładałem wówczas pisanie, aby powrócić do niego po kilku tygodniach i podjąć opowieść.

BLC: *Czy udało się już Panu uwolnić od swojego bohatera i pomyśleć o nowej historii?*

LDT: W Rumunii wiele osób zadawało mi pytanie, czy mam zamiar kontynuować opowieść o Brunulu. Na Facebooku jeden z czytelników napisał do mnie, że powieść wprawdzie bardzo mu się podobała, ale nie wybaczy mi tego, że uśmierciłem swojego

bohatera, co nie jest prawdą (śmiech). Nie mam wprawdzie potrzeby kontynuować tej historii, ale to zainteresowanie czytelników dało mi do myślenia. Zresztą fakt, że mogę ciągle toczyć rozmowy o tej książce, dowodzi, że mój bohater nadal żyje – w myślach i wyobraźni czytelników, mimo że ja się już od niego uwolniłem.

Prowadząc dokumentację do tej książki odkryłem też wiele materiałów na inne opowieści i jestem przekonany, że temat historii lat 50. w Rumunii będę kontynuował.

BLC: *Został Pan laureatem Nagrody Czytelników im. Natalii Gorbaniewskiej. Co dla Pana znaczy ta nagroda?*

LDT: Moje książki były tłumaczone na inne języki, miałem też pragnienie, aby ukazał się także polski przekład. A kiedy okazało się, że przekład będzie, tak się tym ucieszyłem, że zacząłem sobie wyobrażać, że coś się musi wydarzyć. I tak się stało! Nagroda Czytelników daje poczucie, że warto podjąć trud pisania oraz nadzieję, że znajdą się również amatorzy kolejnych moich książek.

http://kulturaonline.pl/